W numerze: TERESA WOJCIECHOWSKA *„Orfeusz" w Teatrze Wielkim* ● BOGDA MADEJ *Jak pisać anonimy?* ● LUCJUSZ WŁODKOWSKI *Jest się czym chwalić* ● EWA OSTROWSKA *Powrót* ● *Zewsząd o wszystkim* ● *Nowela kryminalna*

odgłosu

WOJEWÓDZKA ODZNAKA M. ŁODZI

7. VI. 1970 r.
23 (655)
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

KAROL BADZIAK

W WIĘZIENIU BYŁO NAJLEPIEJ...

Opowiem po kolei autentyczną historię dziecka, które urodziło się jako rezultat przygody. Zdarzyło się to w czasie okupacji w zabitej deskami wiosce skiernie wickiego powiatu, w domu, gdzie wieczna bieda, pomnożona o okupacyjną nędzę skazała nowo narodzone dziecko, dziewczynkę, na głód, brud, choroby i niewyobrażalne dziś ubóstwo. Ojcem był granatowy policjant z miejscowego posterunku, matką młoda kobieta, której mąż znajdował się w niewoli niemieckiej.

Dziewczyna żyje, ma dziś 27 lat. Nikt by nie poznał jej dramatu, gdy by nie pieniądze.

Postanowiłem odszukać kobietę, która urodziła Marię Grażynę — Irenę. Dysponowałem adresem z lat pięćdziesiątych. Nikt w tym mieście nie umiał mi odpowiedzieć jak się obecnie nazywa ta ulica. Skierowałem się na pocztę, wiedziałem, że tam kiedyś Maria Grażyna — Irena pracowała. Naczelnik szybko sobie o niej przypomniał, choć było to sporo lat temu. Miał specjalne powody, ażeby ją zapamiętać.

— Owszem, pracowała taka u nas, jakieś pół roku na okienku, potem zbiegła. Zginęło z kasy chyba z osiemset złotych, może trochę więcej. Prosiłem jej matkę, by zwróciła pieniądze, wtedy by się to jakoś załatwiło. Nie, matka o niczym nie chciała słyszeć. Zameldowałem, poszły listy gończe, schwytano ją gdzieś nad morzem, milicja przywiodła do sądu, odbyła się rozprawa, dostała osiem miesięcy.

A co, może znów narozrabiała? Nie spodziewałbym się po niej czegoś podobnego. Cicha była, spokojna, można powiedzieć

Dalszy ciąg na str. 3

KONRAD FREJDLICH

Rzecz Niepospolita

Gdy przed trzema tygodniami zapytałem Juliana Przybosia: Czy poeci są potrzebni? — było w tym sporo przekory, a więcej jeszcze nadziei, że najpełniejszą odpowiedź da nam zbliżający się Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi. Dziś, gdy piszę te słowa, doświadczenie to mam już za sobą. Trzy dni, pracowicie spędzone na rozmowach i dyskusjach o poezji, i na słuchaniu wierszy. Bo chociaż wiersze nie powstają na festynach, prezentuje się tam je obficie, a także nagradza pomimo ostrzeżenia Norwida, że „laur to ciernie".

Piąty, a więc niejako jubileuszowy festiwal łódzki, zasługuje na miano wyjątkowego, niepospolitego. Ogromny wysiłek organizacyjny Wydziału Kultury w Łodzi i łódzkich pisarzy opłacił się więc stokrotnie. Zresztą w ten wysiłek wniosły swoje cegiełki także inne stowarzyszenia twórcze. Przede wszystkim aktorzy. A także plastycy, skłonni do bezimiennych poświęceń, skoro ani jeden ich przedstawiciel nie objawił nam się oficjalnie podczas obrad w piwnicach ZPAP.

Obrady rozpoczęły się tradycyjnie w sali sesyjnej Rady Narodowej m. Łodzi wydanej tego dnia na łup poetariatu. Patronował im dwuwiersz Norwida z utworu pt. „Ciemność":

„On skarży się na ciemność mej mowy —
Czyż choć świecę raz zapalił sam?"

Referat profesora Jakubowskiego i dyskusja — poświęcone były przezwyciężaniu tej ciemności, tej samotności poezji, która mimo rozszerzenia liczby słuchaczy wciąż jeszcze dość mdłym światłem rozświeca mroki obojętności. A przecież, jak mówi Norwid w tym samym wierszu:

„Wiary trzeba, nie dość iskry i popiołu!
Dałeś wiarę — patrz, patrz, jak płonie!
Podobnież są i pieśni me. O człowieku,
Który im chwili skąpisz marnej,
Nim, rozgrzawszy zimnotę wieku,
Płomień błyśnie ofiarny!"

Zrazu dyskusja, mimo wysiłków dyrygującego nią dość obcesowo Mariana Piechala, rozpłomieniała się bardzo powoli. Może dlatego, że została zmajoryzowana przez krytyków, którzy wcześniej zmajoryzowali sąd konkursowy. Zresztą z jego rozstrzygnięciem w jednym wypadku trudno mi się jednak zgodzić, gdy idzie o główne nagrody festiwalu, choć cieszy mnie laur Grochowiaka i Herberta. „Nie było lata" i „Napis" to bezsprzecznie najciekawsze książki poetyckie roku, ale czy rzeczywiście myśl teoretyczna o poezji była aż tak jałowa, by nie zasłużyć sobie choćby na wyróżnienie? Ogarniają mnie wątpliwości czy wysokie jury miało prawo zamknąć oczy na rewelacyjną książkę krytyczną Andrzeja Lama pt. „Polska awangarda poetycka", która, choć historyczna, uzyskała przecież aktualizację w dyskusji festiwalowej, gdy zastanawialiśmy się, jaka jest rola poezji w społeczeństwie i jakie są jej szanse, aby taką rolę odgrywać.

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

Rzymska sesja NATO nie spełniła oczekiwanych w niektórych kręgach nadziei, nie przyniosła bowiem zapowiedzi nowych elementów w polityce bloku atlantyckiego. Trudno oprzeć się wrażeniu, co zauważa także część komentatorów zachodnich, że postawiła ona sobie cele propagandowe i nic więcej. Tak też sformułowany został końcowy komunikat, kładący nacisk na „zrównoważone rozbrojenie", a więc powtarzający deklarację sprzed 2 lat z Reykjaviku.

Wysunięcie na plan pierwszy redukcji wojsk w Europie w chwili, kiedy Stany Zjednoczone prowadzą trzy wojny w Indochinach, i mają trudności finansowe nie może być uznane za rzeczywisty krok w kierunku odprężenia. Oznacza natomiast gotowość przeniesienia punktu ciężkości rozmów na płaszczyznę dwustronną, z równoczesnym ograniczeniem kontaktów wielostronnych. Te ostatnie rządy krajów NATO uzależniają od „osiągania postępów" w obecnych i przyszłych rozmowach „w szczególności na temat Niemiec i Berlina". Dopiero wówczas — jak stwierdza komunikat Rady Ministerialnej NATO — rządy sojusznicze gotowe są wejść w wielostronny kontakt. „Jednym z głównych celów takich kontaktów byłoby zbadanie, kiedy byłoby rzeczą możliwą zwołanie konferencji czy też serii konferencji na temat europejskiego bezpieczeństwa i europejskiej współpracy".

Komentując stanowisko krajów NATO „Baltimore Sun" pisze więc:

„Treść komunikatu nie stanowi otwartego odrzucenia propozycji krajów komunistycznych co do zwołania europejskiej konferencji bezpieczeństwa. Jednakże w komunikacie jest tyle warunków, że rychłe zwołanie takiej konferencji nie wchodzi w rachubę".

Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że wszystkie kraje członkowskie zajęły stanowiska zbieżne. Francja w ogóle nie podpisała „Projektu deklaracji w sprawie wzajemnych i zrównoważonych redukcji sił", argumentując ustami min. Schumanna, że jest przeciwna oświadczeniom, o których z góry wiadomo, iż skazane są na niepowodzenie. Inne kraje natomiast, a przede wszystkim: Belgia, Dania, Holandia, Norwegia domagały się udzielenia pozytywnej odpowiedzi na propozycję krajów socjalistycznych zwołania europejskiej konferencji. Dlaczego więc inny jest finał rzymskiej sesji?

Cytowany powyżej dziennik pisze wprost:

„Stany Zjednoczone znalazły się znów w roli strony hamującej dążenia swych sojuszników do konkretnych kroków w kierunku odprężenia w stosunkach z ZSRR i innymi członkami Układu Warszawskiego". Obawiają się one bowiem, że zwołanie konferencji „mogłoby fatalnie osłabić NATO i odbić się ujemnie na staraniach na rzecz odprężenia w stosunkach z ZSRR, jakie Waszyngton podejmuje na własną rękę".

Komentator „Baltimore Sun" nie pisze już o tym, co jednak wiadomo, że stopowanie inicjatyw rozbrojeniowych w Europie wynika przede wszystkim z agresji USA w Kambodży. Nikt jednak — poza francuskim ministrem — nie odważył się skrytykować Stanów Zjednoczonych za ich politykę indochińską. Częściowo miał na to wpływ list Nixona, odczytany na sesji, w którym potwierdza on wycofanie wojsk USA z Kambodży w terminie do 1 lipca.

Czy rzeczywiście tak się stanie?

W Stanach Zjednoczonych wierzy w to tylko 12 proc. wypowiadających się w ankiecie (Harrisa), 66 proc. zapytanych uważa natomiast, że Kambodża przekształci się w kolejny Wietnam, gdzie wojska amerykańskie uwikłane zostaną w poważne i długotrwałe walki.

Wróćmy jednak do sesji NATO.

Komentatorzy zwracają uwagę na niezwykle małą aktywność w Rzymie delegacji NRF. Ich zdaniem wynika to stąd, że Brandt i jego ekipa chcą kontynuować rozmowy z ZSRR, Polską i NRD — bez włączania tych rozmów w orbitę ogólnych założeń polityki bloku atlantyckiego. Mają to potwierdzać słowa, wypowiedziane przez Scheela wobec dziennikarzy: „nie dojrzał jeszcze czas do przeniesienia tego elementu na płaszczyznę rozmów wielostronnych".

Rekapitulując — sesja rzymska wykazała, że państwa NATO w dziedzinie odprężenia mają do zaproponowania bardzo niewiele i że nie są gotowe do podjęcia konstruktywnych rozmów. Wykazała jednak równocześnie, że idea europejskiej konferencji nurtuje wiele krajów i że będzie powracać na porządek dzienny.

W najbliższym czasie będzie ona jednym z głównych tematów rozmów min. Gromyki z min. Schumannem w Paryżu. Radziecki minister udaje się do Francji z rewizytą, jako że jesienią ub. roku Schumann bawił w Moskwie.

Poza kwestią europejskiego bezpieczeństwa i konferencji na ten temat przypuszczalne tematy rozmów paryskich, to: problem niemiecki, sytuacja na Bliskim Wschodzie i w Indochinach oraz stosunki bilateralne.

Do oficjalnej wizyty radzieckiego ministra przywiązuje się w Paryżu duże znaczenie.

W. SŁAWSKI

Japońska inwazja na europejską „twierdzę"

„BUSINESS WEEK" — NOWY JORK

W paryskiej restauracji „Kioto", położonej w sąsiedztwie należącego do Japończyków hotelu „Królowa Elżbieta", spis potraw jest drukowany w dwóch językach: francuskim i japońskim. Każdego tygodnia, już od wczesnych godzin, wszystkie stoliki lokalu szczelnie obsiadają japońscy biznesmeni i ich francuscy kontrahenci.

W Düsseldorfie, przy Immermannstrasse, jeszcze długo po 18 nie gasną światła w oknach mimo, że o tej godzinie kończy się tutaj pracę. Ale przestaje to dziwić, gdy się rzuci okiem na mosiężną tabliczkę przy drzwiach wejściowych, która informuje, że tutaj właśnie mieszczą się oddziały japońskich przedstawicielstw handlowych.

Właściciel salonu kosmetycznego przy ulicy Piaza Dias w Mediolanie wyraża się bardzo pochlebnie o jakości kosmetyków tokijskiej firmy „Siseido": „Są one tak samo doskonałe jak francuskie..." W gabinecie dyrektora Banku Włoskiego, tuż za jego biurkiem, stoją dwa japońskie telewizory.

W Sztokholmie, przez cały dzień, tłoczą się na poczcie japońscy handlowcy, którzy wysyłają telegramy do kraju i do innych europejskich przedstawicielstw swoich firm.

Takie przykłady można by mnożyć w nieskończoność. Ale i bez nich wiadomo, że Japończycy mocno atakują europejską „twierdzę". Na europejskim kontynencie działa cała armia japońskich przemysłowców. Napływ towarów made in Japan jest tak wielki, że japońskie koncerny uruchomiają w Europie specjalne centra przeładunkowe.

W roku 1968 Japonia miała dodatni bilans handlowy z krajami Europy zachodniej, zamykający się sumą 300 milionów dolarów, przy ogólnej wartości eksportu równej kwocie 1,6 miliarda dolarów.

Japońskie inwestycje w Europie zachodniej zaczęły intensywnie wzrastać od czasu, gdy na początku 1968 roku rząd podniósł górną granicę dopuszczalnych wydatków koncernów japońskich za granicą z 50 tys. dolarów do 200 tysięcy dolarów. W Tokio chodzą słuchy, że już wkrótce zagraniczne operacje handlowe japońskich biznesmenów Bank Japoński będzie aprobować „prawie automatycznie".

Latem ub. roku wielkie magazyny w Zurychu przeprowadziły ogromną trzytygodniową wyprzedaż pełnego asortymentu towarów japońskich, poczynając od kamer fotograficznych i radioodbiorników, a na odzieży kończąc. W grudniu ub. roku jeden z większych rzymskich domów towarowych zorganizował, trwający dwa tygodnie kiermasz towarów japońskich.

W Niemczech zachodnich japońskie aparaty fotograficzne „Nikon" wyparły z rynku znakomite aparaty f-my „Leica" i „Zeiss-Ikon". Nierzadko w sklepach elektrotechnicznych słyszy się dziś opinię, że japońskie wyroby radiowe i elektrotechniczne „Tosiba" czy „Soni" są lepsze od zachodnioniemieckich. Jeszcze rok temu pozycja rodzimej produkcji NRF była niezachwiana.

Niedawno w hotelu „Hilton" w Madrycie odbyła się konferencja przy „okrągłym stole", w której wzięli udział biznesmeni, reprezentujący największe koncerny japońskie. Omawiano plany handlowe na przyszłość. Jeden z Japończyków podkreślił, że „Hiszpania jest dla przemysłowców ziemią obiecaną..."

W Brukseli, grupa przemysłowców z sześciu miast japońskich, zorganizowała tygodniowe targi, na których sprzedano mnóstwo towarów japońskich, od wzorzystych jedwabnych parawanów do ubiorów używanych do dżudo.

Ekspansji japońskiego handlu sprzyjają europejskie wizyty przedstawicieli wpływowych kół handlowych Japonii. I tak, w Szwecji prowadziła niedawno rozmowy handlowe delegacja prezesów i generalnych dyrektorów szeregu znanych koncernów japońskich, których roczne dochody przewyższają państwowy budżet Szwecji. Następnym etapem ich podróży była Holandia.

O rozmiarach handlowej inwazji Japończyków na Europę świadczy również stale rosnąca liczba pasażerów linii lotniczych między Japonią i Europą. Amerykański biznesmen przebywający w Brukseli, zaniepokojony japońską konkurencją na europejskich rynkach, zauważył ponuro, ale dowcipnie: „Na każdego Japończyka na Ziemi przypada jeszcze dziesięciu w powietrzu..."

Wraz z japońską falą handlową przypłynęły do Europy i osiedliły się tutaj liczne kolonie japońskich przedstawicielstw handlowych. W Brukseli na przykład mieszka stale 400 japońskich biznesmenów wraz z rodzinami. Niektóre przedstawicielstwa zbierają informacje o aktualnym popycie towarów japońskich oraz zajmują się sondażem „Wspólnego Rynku". W Düsseldorfie — sercu Ruhry — osiadła najliczniejsza kolonia japońska, licząca 1300 osób. W związku z tym miejscowe pismo „Rheniscber Post" nazwało miasto „Japonią na Renie". Podczas gdy w styczniu 1968 roku znajdowały się w Düsseldorfie 82 przedstawicielstwa japońskich firm handlowych i przemysłowych, to dziś jest ich już tutaj przeszło sto! Mają tu nawet swoją stałą siedzibę „Japanische Industrie und Handelskammer". Dwa lata temu japoński konsulat w Düsseldorfie został podniesiony do rangi konsulatu generalnego.

Japończycy działają w Europie z dużą rozwagą, aby nie stwarzać pretekstów do pomówienia ich o „najazd".

— „Powinniśmy działać rozsądnie i bez hałasu, żeby nie popełniać błędów" — mówi Kodżo Tamaki, szef bruksselskiej filii jednego z tokijskich koncernów samochodowych. Firma ta, w roku 1968, sprzedała w Europie zachodniej 25 tysięcy samochodów, o pół tysiąca więcej, niż w roku poprzednim. Największym dostawcą samochodów na rynek europejski jest firma „Tojota". Samochody tej marki spotyka się coraz częściej na ulicach Sztokholmu, nawet jako taksówki.

Pewien Amerykanin, znający się na metodach walki o klienta, tak charakteryzuje Japończyków: „W pogoni za nabywcą działają bardzo operatywnie, całkiem po amerykańsku. Różnica pomiędzy nimi a Europejczykami jest taka, jak między nocą a dniem".

Jednakże nie cała Europa wpadła w japońskie sidła. Na przykład we Włoszech poważnie ograniczono import 115 rodzajów towarów japońskich. Niektórych nie wolno importować w ogóle, jak na przykład samochodów. Również Hiszpania wstrzymała import samochodów japońskich.

Ale prawdziwą klęskę ponieśli Japończycy tylko w Anglii. Ich eksport do Wielkiej Brytanii zmniejszył się w okresie 8 miesięcy 1968 roku, w porównaniu z analogicznym okresem 1967 roku, o 16 procent i wyniósł 153 mln dolarów.

Jednakże Japończycy dopiero przygotowują teren do uderzenia na Europę. Widomą oznaką tego zamierzenia jest nie ekspansja handlowa, lecz rosnące wciąż nakłady na inwestycje przemysłowe w Europie. Ta tendencja dopiero się zarysowuje, ale już dziś odnosi się wrażenie, że Europejczycy bez oporów dają się złapać na tę przynętę. Oto elektrotechniczny koncern japoński „Macusita Denki" i holenderski „Philips" poinformowały niedawno opinię publiczną o budowie w Belgii fabryki baterii elektrycznych. Fabryką będzie administrował „Philips", ale produkcja baterii będzie oparta na technologii japońskiej. Dwie znane firmy spożywcze — szwajcarska i japońska budują wspólnie wielkie zakłady spożywcze w Brindisi.

Na razie Japończycy uważają własne inwestycje przemysłowe w Europie za przedwczesne, ale nie ustają w poszukiwaniu amatorów do wspólnych przedsięwzięć.

Z palcem na cynglu

„JEUNE AFRIQUE" — PARYŻ

Aby zostać aku-uka (taki tytuł nosi najwyższy wódz małego plemienia Dżuku w Centralnej Nigerii) nie wystarczy mieć autorytet wśród współplemieńców. Pretendent do tego tytułu musi się także odznaczać dużą odwagą. Rzecz w tym, że okres panowania wodza trwa siedem lat, po upływie których aku-uka, niezależnie od wieku i stanu zdrowia, słowem chce czy nie chce — musi umrzeć.

Rytualna ceremonia wyboru aku-uka odbywa się z ogromnym przepychem. Nowo obranego monarchę kąpie się w świętym źródle, owija w barwną narzutę z króliczych skór, sadza na białego konia, po czym wprowadza się go do pałacu, gdzie obejmuje we władanie cały majątek swego poprzednika, więc odzież, zapasy żywności, a nawet wdowę po zmarłym wodzu. Po tym uroczystym wprowadzeniu najwyższy kapłan plemienia ogłasza wszem i wobec: „Cały świat należy do ciebie! Żyj w zdrowiu i szczęściu do końca swego panowania". Właśnie — do końca swego panowania...

Po upływie owych siedmiu lat tenże najwyższy kapłan, wespół ze starszyzną plemienia zakrada się głęboką nocą do pałacu i... dusi śpiącego wodza. Ta ponura tradycja przetrwała przez wieki. Ale oto dwa lata temu ówczesny aku-uka, były nauczyciel w koledżu, Malam Adi Bwaje, oparł się wielowiekowej tradycji plemienia i po prostu nie zgodził się na dobrowolną śmierć. Już od dwóch lat nie opuszcza swego pałacu i zawsze ma pod ręką nabity pistolet.

„Bunt" aku-uka wywołał gwałtowną reakcję wśród plemiennej społeczności. Zdania są podzielone. Zwolennicy starych tradycji pomstują na stronników Bwaje. Ci znów uważają, iż podobne składanie ofiary nie jest niczym innym, jak zamierzonym zabójstwem. Mówią: „To hańba, że istnieją jeszcze plemiona, gdzie składa się ofiary z ludzi!"

Wszystko to wskazuje na to, jak głęboko w świadomości ludzkiej tkwią stare, anachroniczne tradycje. Tak czy inaczej, kończący swą kadencję aku-uka musi nasłuchiwać nocami, spać z otwartymi oczami i trzymać palec na cynglu rewolweru. Oj życie, życie...

Obywatel nr...

NEWSWEEK — NOWY JORK

Niektóre kraje z całą powagą wprowadziły numerowanie swoich obywateli. Najpierw zrobiła to Szwecja w roku 1947, za nią — Norwegia, Dania... Obecnie mówi się, że podobną numerację obywateli mają również wprowadzić Stany Zjednoczone.

Niemcy zachodnie, z właściwą sobie skrupulatnością, poszły jeszcze dalej. Oto rząd boński zamierza, do roku 1973, zakończyć numerowanie obywateli NRF. Odtąd każdy mieszkaniec tego kraju będzie miał swój kolejny numer ewidencyjny.

Ośrodki maszyn liczących będą zbierały dane dotyczące daty urodzenia, stanu rodzinnego, stosunku do służby wojskowej, wysokości płaconych podatków, liczby, płci i wieku dzieci, umiejętności prowadzenia pojazdów mechanicznych, wyznania, a nawet dane o chorobach wenerycznych. Autorem tego projektu powszechnej numeracji jest ministerstwo spraw wewnętrznych.

W Duesseldorfie, 700 tysięcy mieszkańców tego miasta, otrzymało już swoje numery. W ośrodku maszyn obliczeniowych zebrano o każdym mieszkańcu mnóstwo danych personalnych. Władze miejskie będą teraz miały każdego mieszkańca miasta jak na dłoni. Podobny system numeracji wprowadzono także w Augsburgu, Stuttgarcie i innych miastach. Oznacza to, iż każdy Niemiec, który zmieni miejsce zamieszkania, dosłownie w kilka minut przejdzie odpowiednią rejestrację, na którą przed tem trzeba było stracić kilka dni. Jak się przewiduje, wprowadzenie tego nowego systemu nie napotka na trudności...

W WIĘZIENIU BYŁO NAJLEPIEJ...

Dalszy ciąg ze str. 1

skryta. Lubiła słodycze, miała zawsze pełną szufladę cukierków. Wszystkim te cukierki rozdawała. To wzbudziło moje podejrzenie. Miałem dobrego nosa. Jak ktoś zarabia 1200 złotych i kupuje tyle cukierków zaraz rzuca się w oczy. Ale chyba ta jej matka to nie jest jej matka — zakończył naczelnik.

— Kto to wie panie naczelniku — odrzekłem i udałem się pod wskazany adres. Drzwi otworzyła stara kobieta, umęczona życiem.

— Czy zastałem panią Helenę F?

— To ja.

— Przyszedłem w sprawie córki Grażyny.

— U mnie nie ma takiej córki... Ach, już wiem, chodzi o Irenę. Bo widzi pan Grażyna to dla mnie Irena.

Dojrzałem niepokój w oczach starej kobiety. Ona chciałaby już zapomnieć o tamtej sprawie, na pewno już zapomniała, wyspowiadała się z tego grzechu młodości przed księdzem, otrzymała rozgrzeszenie. Trzyma teraz na kolanach wnuczka, dziecko córki z prawego łoża, a tu ciągle wraca do niej tamta historia sprzed lat. Czuję, że jestem ambasadorem sprawy już dawno przekreślonej. Stara kobieta z wnuczkiem na kolanach, wśród świętych obrazów — to już zupełnie inna kobieta niż ta, która zgrzeszyła w czterdziestym trzecim roku. Kumy szybko postarały się wtedy, żeby mąż o dziecku się dowiedział. Już nie wrócił z niewoli do rodzinnej wioski. Po opuszczeniu obozu jenieckiego zatrzymał się na Ziemiach Odzyskanych. Napisał do żony krótko i rozkazująco: „Przyjeżdżaj!" Była mu posłuszna.

— Dlaczego pani oddała dziecko obcym ludziom?

— Wiedziałam, że idzie w dobre ręce. Gdzie Irena dziś przebywa, nie wiem. Tak, jak przyszła, tak i odeszła. Co ja przez nią od męża ucierpiałam i przeżyłam tylko ja wiem i sam Pan Bóg.

Wiem, gdzie przebywa Maria Grażyna — Irena. Mam jednak poważne powody, żeby nie udzielać informacji tej kobiecie. Właśnie się do jej dziecka wybieram. Zanim jednak zobaczę się z Marią Grażyną — Ireną, rozmawiam z kobietą, która ją wychowała. Nie ta matka, która urodzi, lecz ta, która wychowa. Chciałbym poznać całą prawdę o pani córce...

— Moje życie dzięki niej stało się pasmem udręki i cierpień. Wyszłam za mąż bardzo młodo. Mąż dobry był dla mnie, czuły, troskliwy. Pracował w policji i nieźle się nam wiodło, przyszła jednak wojna, okupacja, musiał się ukrywać. Wreszcie przeszedł przez zieloną granicę do GG, tam się zgłosił do pracy w policji. Znów życie ułożyło się nam dobrze. Ale ludzie zaczęli mi opowiadać, że mój mąż ma gdzieś dziecko z inną kobietą. Początkowo nie wierzyłam, w końcu wybrałam się do niej. Mieszkała pod lasem w małym domku. Podłogi w tym domu nie było, gołe klepisko. Brudno, ciemno, zimno, półnagie, półroczne dziecko poniewierało się w łachmanach ledwo żyło. Wyglądało tak, jakby ta kobieta chciała, żeby ono umarło. Powiedziała mi kto jest ojcem dziecka, wymieniła nazwisko mego męża. To był dla mnie szok, uciekłam stamtąd, przyjechałam do rodziców do Łodzi. Mąż przyjechał za mną, prosił, błagał o wybaczenie. Co miałam robić, wróciłam. Ponieważ nie mieliśmy dzieci z mojej winy, postanowiłam że sama wychowam jego córkę. Matka z chęcią ją oddała. Przyjechaliśmy do Łodzi i zgłosiliśmy ją jako własne dziecko. Otrzymała nowy akt urodzenia, nowa matkę nowe imiona, nowe nazwisko, odbyły się nowe chrzciny. Przed tem miała na imię Irena F. teraz otrzymała Maria — Grażyna P. Była dzieckiem chorowitym, kosztowała mnie wiele nieprzespanych nocy. Zaczęła tracić wzrok. Tylko dzięki wysiłkom i staraniom wielu lekarzy udało się jedno oko uratować. Na drugie nie widzi do dziś.

Tymczasem, kiedy ja troszczyłam się o dziecko mój mąż, z natury niewybredny łajdak, nie przychodził całymi dniami do domu, małżeństwo wreszcie się rozpadło. Odeszłam od niego, otrzymałam rozwód. Materialnie byłam niezależna, miałam sklep z galanterią, mąż posiadał dwa zakłady pogrzebowe. Kiedy mi sklep odebrano, wystąpiłam o alimenty dla dziecka. Wówczas on na rozprawie sądowej powiedział, że to wcale nie jest moje dziecko. Ojcostwa też się wyparł. Co miałam robić, przyznałam się, że faktycznie Grażynka nie jest moją córką. Odebrano mi prawa macierzyńskie, niemniej dziecko przy mnie pozostało. Sprawa toczyła się przed sądem jedenaście lat. Mąż zdążył się w tym czasie powtórnie ożenić, a nowa żona z podwójną energią dopingowała go do tego, by wyparł się ojcostwa. Odszukano pierwszą metrykę, na której widniało tylko nazwisko matki, ojciec nieznany. Na drugiej metryce ojciec znany, matka skreślona. W końcu odszukano prawdziwą matkę. Przyjechała i stwierdziła pod przysięgą:

— Grażyna Maria P. jest dzieckiem moim i faktyczne jej imię Irena, jest ona córką moją. Ponieważ państwo P. chcieli mieć jakieś dziecko, które mogliby wychowywać, więc ja im dałam Irenę. Żadnych pretensji do dziecka nie mam...

Potwierdziła również że ojcem jest mój były mąż. Sprawa trafiła do Sądu Najwyższego. Sąd Najwyższy wyszedł z założenia, że do tej pory nie było precedensu, żeby dziecko urodziło się bez ojca i panu P. nie udało się wymigać od ojcostwa, a szczególnie od alimentów, o które najbardziej mu chodziło.

Tymczasem Grażynka rosła i wychowywała się u mnie zupełnie nie przeczuwając jak groźne chmury zbierają się nad jej losem. Starałam się uchronić ją przed najczarniejszymi wiadomościami, jakie mogły dotrzeć do niej z sądu. Nawet jak jej matka przyjechała na sprawę, robiłam wszystko, żeby się nie zetknęły z sobą. Zresztą matka nie wyrażała najmniejszej ochoty.

Kiedy Grażynka skończyła dziesięć lat ojciec zabrał ją ode mnie. Nie sprzeciwiałam się. Jak chcesz, to idź — powiedziałam do niej. Zobaczysz jak ci tam będzie. Wróciła w wigilię Bożego Narodzenia z płaczem. Zaczęła mnie pytać, czy to prawda, że ja nie jestem jej matką. Oczywiście zaprzeczyłam, dziesięcioletniemu dziecku dużo można wmówić. Uspokoiła się, o wszystkim zapomniała. Tak mi przynajmniej się wydawało.

Ale okazało się, że obecna żona męża nie zrezygnowała tak łatwo. W pięć lat później Grażynka wróciła po kolejnej wizycie u ojca kompletnie zdruzgotana. Bałam się tego momentu, przeczuwałam go, choć wiedziałam, że to musi kiedyś nastąpić.

— Ty nie jesteś moją matką — powiedziała wtedy do mnie z płaczem. Powiedz, kto jest moją prawdziwą matką, gdzie ona jest. Ciebie nienawidzę.

— Jak skończysz osiemnaście lat, to ci powiem. Nie ustępowałam. Przestała się uczyć, przestała mnie słuchać. To co się z nią wtedy działo, można tylko porównać z trzęsieniem ziemi. Tamta kobieta nie dała jej nic, a zabrała dzieciństwo.

W końcu dałam Grażynie adres matki. Napisała do niej, że chce się z nią zobaczyć. Otrzymała odpowiedź. Napisała drugi list, posłała swoje zdjęcie, prosiła, żeby matka wyszła po nią na dworzec. Opisała szczegółowo jak wygląda, jak będzie ubrana, kiedy przyjedzie. Matka nie wyszła. Posłała córkę. Siostry rozpoznały siebie, rzuciły się sobie w objęcia. Po tygodniu Grażynka wróciła do Łodzi, zdała końcowe egzaminy i wyjechała na stałe. Resztę już pan zna.

☆

Powiedzmy, że znam. Teraz czas poznać osobiście główną bohaterkę. Mamy do niej wiele pytań, przede wszystkim, dlaczego nie wróciła do matki (?) w Łodzi.

A więc w pociąg i nad morze. W S. nikt nie zna dziewczyny o takim nazwisku. W centrum wiejskiej informacji czy li w sklepie GS głowią się nad tym problemem czcigodni klienci, łącznie ze sprzedawczynią. Wymieniam imię i wszystko staje się jasne. Grażyna! Wszyscy ją znają. Ta z bielmem na oku, co mieszka u zwariowanych staruszków, co to mają nie dorobionego syna.

Jeśli wieś woła człowieka tylko po imieniu, a nie zna jego nazwiska, nie jest z tym człowiekiem najlepiej.

— Pójdzie pan prosto, skręci za mostkiem i na prawo od księżyca ją zastanie — otrzymuję ścisłą, choć nieco tajemniczą informację.

— Grażyna spadek dostała to i kawaliry z miasta się zjeżdżają — odprowadza mnie gromki śmiech. Nie tylko śmiech bo i jakaś staruszka zgodziła się być mi przewodnikiem. Kiedy dowiaduje się, że przyjechałem aż z Łodzi już wie, że jestem redaktorem. Wici poszły, poczta działa.

— Ja też jestem z Łodzi — mówi staruszka. — Z Bałut, Rynek 10 mieszkaliśmy. Chciałoby się i teraz do Łodzi, tu bagna, grób będzie zimny i mokry. Nie każdemu się tak poszczęściło jak tej biednej naszej Grażynie. Oj biedna, ona biedna. Wczoraj do czwartej nic nie jadła. Przyszła, poczęstowałam zupą.

Grażynę — Irenę poznaję z daleka. Szczupła, mizerna, chustka wiejska na głowie. „Wejdzie do mieszkania". Wszedłem. Dwoje starców w kąciku. Kobieta mówi całkiem od rzeczy. Trudno pojąć o co jej chodzi. „Bóg pod podłogą, Bóg na suficie, a ślub jaki ja miała... We Kwowie koło Odrzywołu... Na dwie świce... Niemiec z psym był i powiedział że już wojny nigdy nie będzie.. Spacerowe gospodarstwo ja miała... Ojciec to jest cała dusza gospodarza..."

Dwa biedne pokoiczki, makatki z wyleniałymi jeleniami, święte obrazy, wyrka zamiast łóżek, szmaty zamiast pościeli, a w samym środku meszkania telewizor. Wygląda tu jak sprzęt z innej planety. Obok obrazu Ducha Świętego kapitan Kloss — Mikulski wycięty z „Przyjaciółki".

Jakim cudem się ta dziewczyna tutaj znalazła? Przyjechała tu po wyjściu z więzienia. Dostała tam pracę w spółdzielni inwalidów „Warta". Pilnowała w nocy magazynów, zarabiała grosze, a za mieszkanie płaciła 300 złotych. Latem w sezonie wypoczynkowym gospodarze wyganiali ją do piwnicy. Tak przetrwała pięć lat, bardzo ciężkich pięć lat.

Pewnego razu przyjechali do gospodarza znajomi z wioski. Sublokatorka przypadła im do serca, synowi akurat żona uciekła do Australii, zaproponowali Grażynie, żeby z nimi pojechała. Pojechała. Zamierzała pracować w PGR. Po trzech dniach zemdlała, zniesiono ją z pola nieprzytomną. Zemdlała z wycieńczenia, z głodu.

Od tamtej pory minęło dwa lata, siedzi, wegetuje, cieszy się, że ma chociaż bezpłatny dach nad głową. Czasem dostanie zapomogę z PKPS, dziadek ma 800 złotych, renty, syn zarabia miesięcznie 400 zł. w sumie cała czwórka egzystuje za 1200 złotych miesięcznie. Syn jest popychadłem w PGR, z litości go trzymają, gdyż stan jego umysłu jest bardzo odległy od normy. Biedacy utrzymują jeszcze biedniejszą od siebie.

Wydaje mi się, że wiem, dlaczego dziewczyna tu została. Tutaj nikt nie zna jej przeszłości, nikt o niej nic nie wie. Przynajmniej dotychczas nie wiedział. To była ucieczka od świata, od ludzi, od życia. Wyrzekła się jednej matki, drugą się rozczarowała. Do pierwszej miała żal, że ją oszukała, do drugiej, że okazała się zupełnie kimś innym, niż sobie wyobrażała. Kiedy się o tym przekonała, poczucie godności nie pozwalało jej wrócić do pierwszej. Zresztą posłuchajmy, co ona sama na ten temat powie.

☆

O tym, że moja mamusia nie jest moją mamą dowiedziałam się po raz pierwszy, kiedy miałam dziesięć lat. Podczas wieczerzy wigilijnej powiedziała mi o tym macocha. Chciałam iść po kolacji do mamusi, prosiłam, żeby mi dała dwa złote na tramwaj. Wtedy ona, szyjąc poduszki na trumny mówi do mnie: „To nie jest twoja matka. Ani to nie jest twój ojciec. Ty masz matkę na Zachodzie".

Nie uwierzyłam jej, bo to jest zły człowiek. Tatuś był dla mnie bardzo dobry. Prosił mnie, żebym chociaż przy ludziach mówiła na nią mama. Ja mówiłam „pani". Jak przyszłam do zakładu dawał mi pieniądze i mówił: „Masz tu i uciekaj, że by ona cię nie zobaczyła".

Kiedy przyjechałam do S. przekonałam się, że tamta matka nie odpowiada mi jako matka. Patrzyła tylko żebym jej oddała pieniądze, a nie myślała czy ja chodzę głodna czy najedzona. Te pieniądze z kasy to podebrałam na jedzenie. Lubię słodycze, kupowałam cukierki. Najlepsza to była ta mamusia w Łodzi. Jak uciekłam z S., to właśnie do niej przyjechałam. Ale ona miała narzeczonego, nie lubił mnie. Wtedy przyszło zawiadomienie z poczty, że jestem winna 1500 złotych. Mamusia bardzo się zdenerwowała i powiedziała, żebym sobie poszła gdzie chcę. Wiedziałam, że jestem jej kulą u nogi. Zabrałam się i pojechałam do Kołobrzegu. Tam mnie aresztowała milicja i poszłam pod sąd. W więzieniu miałam dobrze, pracowałam w kuchni, kartofle obierałam. Tam mi było najlepiej. Po raz pierwszy w życiu miałam koleżanki.

I na tym cała historia mogłaby się skończyć. To, co dalej się zacznie, ma już wszelkie cechy bajki o Kopciuszku. Dwa lata temu zmarł ojciec, zostawiając po sobie olbrzymi majątek, wartości około 2—3 milionów złotych. Pochowany został dyskretnie, fachowo, jak przystało na właściciela zakładu pogrzebowego. Śmierci tej jednak nie udało się ukryć. Grażyna dowiedziała się i wystąpiła o należną jej część spadku. Ażeby finał tej opowieści nie okazał się jednak zbyt piękny, wdowa po zmarłym postanowiła walczyć i udowodnić, że Grażyna wcale nie jest córką własnego ojca. Nie zrażona tym, że ojcu dziecka nie udało się tej sztuki dokonać za życia, próbuje uczynić to po jego śmierci. Czy się jej to uda? Życie dopisze zakończenie tej historii.

KAROL BADZIĄK

W następnym numerze „Odgłosów":

- **ZDZISŁAW ŻYGULSKI** — Fryderyk Hölderin (w dwóchsetną rocznicę urodzin).
- **JAN BĄBIŃSKI** — Narodziny centrum.
- **LUCJUSZ WŁODKOWSKI** — Gazeta w powiatowym mieście.
- **TERESA WOJCIECHOWSKA** — II Łódzkie Spotkania Baletowe oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

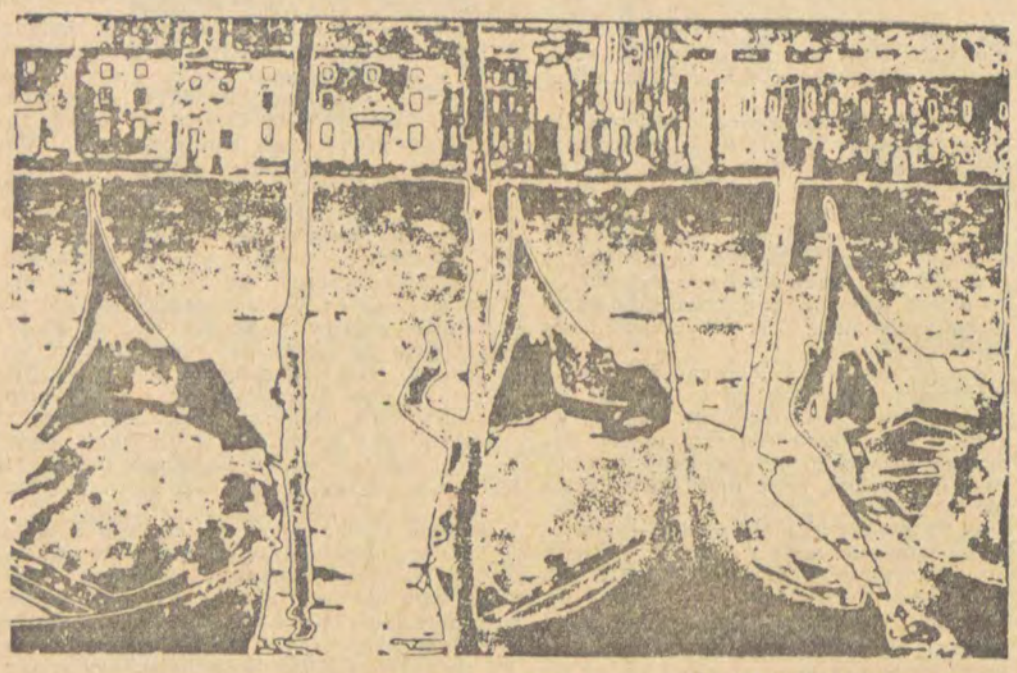

Henryk Łebedzki — grafika

Rzecz Niepospolita

Dalszy ciąg ze str. 1

Powtórzę tu wypowiedzianą w Łodzi myśl Zbigniewa Bieńkowskiego, którą wcześniej i precyzyjniej wyraził w swoim szkicu o Supervielle: „Sztuka jak pług idzie za nauką, za cywilizacją, i odkrywane przez nie dziedziny humanizuje. Sztuka jak radar wybiega naprzód i wychwytuje z przyszłości grozy i olśnienia. To ona, sztuka właśnie — bo cóż poza nią? — oswaja wyobraźnię z nieobliczalnością, z zagrażającym ponadludzkim, kosmicznym niebezpieczeństwem, daje wymiary ludzkiego przerażenia i ludzkiej niepojętności. A świat nie zatrzymuje się w gwałtownym procesie przeobrażeń, nauka i technologia gnają go wciąż naprzód, naprzód, i te drogi świata w przyszłość to są właśnie nieuniknione drogi wyobraźni. Stan wrzenia dzisiejszej sztuki jest nie do zahamowania."

Dyskusja w pierwszym dniu festiwalu nie wskazywała na stan tego wrzenia, choć profesorska wypowiedź Jana Zygmunta Jakubowskiego, zatytułowana „Poeci — krytycy — publiczność" obfitowała w spięcia i porządnie dostało się tam krytykom, a zwłaszcza Ryszardowi Przybylskiemu.

Ale i krytycy pokazali lwi pazur, w drugim dniu festiwalowym, kiedy zeszliśmy do podziemia, do piwnic Klubu Plastyków, gdzie zawiodły mikrofony i personel wydzierżawionej garkuchni. Cały gniew krytyków, a głównie Jana Błońskiego, skupił się tego dnia na drugim referacie festiwalu, gdy Marian Piechal ogłosił swoje „Społeczne adresy współczesnej poezji". Jego wypowiedź korespondowała właściwie z programem (Jakubowskiego) poetyckiej edukacji społeczeństwa, którą przyjęto bez zastrzeżeń; drążyła tę samą myśl, niosła w sobie tę samą nutę niepokoju i troski o społeczny rezonans poezji. Toteż sprzeciw budziły nie pryncypia, nie ogólna diagnoza, tylko przykłady, na których Piechal przeprowadził swój, zresztą wartościowy i interesujący, wywód.

Referat Krzysztofa Gąsiorowskiego „Sytuacja poezji" nawiązał do tych głosów niepokoju o stan poezji, ale poprzez odwrócenie sporu, zaproponował, aby z samoograniczenia sztuki zawężającej pole widzenia świata jako całości, z kryzysu społecznego zaufania, który towarzyszy artystom od zarania dziejów, czerpać siłę zdolną do wyrąbywania nowych dróg, do kształtowania nowej wrażliwości.

Myśl to niezupełnie odkrywcza, skoro już cytowany tu Norwid pisał z gorzką ironią:

„Miło być od swojego czasu
zrozumianym,
Przyjętym od epoki, stąd tak czytywanym,
Iż żaden odcień słowa nie tonie w
papierze,
Lecz wszystkie drżą w powietrzu
namiętnie i szczerze.
To zaś nie tylko, że jest obcowaniem
myśli,
Lecz i onej wyrobu warunkiem
istotnym;
Tak dalece, że będąc sam i sam
najściślej,
Odkąd myślisz, nie jesteś już przeto
samotnym."

Ale ta myśl postawiona od nowa, rozpętała żywiołową, a co ważniejsza twórczą dyskusję, w której jednym z najciekawszych głosów była wypowiedź młodego warszawskiego poety Jarosława Markiewicza, obrazoburczo „pokoleniowa", ale przecież świeża i zasługująca na uwagę. Zwłaszcza w tym fragmencie, gdzie zarzucił krytyce brak ambicji odkrywania nowych zjawisk poetyckich, poruszania się po tym samym zaklętym obszarze z dawna uznanych nazwisk i poetyk.

Uczestniczyłem w wielu festiwalach poezji w naszym kraju, ale ten łódzki, piąty, oceniam najwyżej ze wszystkich. Po raz pierwszy bowiem doszło do konfrontacji postaw artystycznych twórców wszystkich pokoleń i po raz pierwszy w całości reprezentowana była współczesna polska poezja. Bezpośrednio, w festiwalowej dyskusji, na zjazdowej trybunie; i poprzez wiersze.

Mam tu na myśli koncert współczesnej poezji np. „Wyznania" do którego scenariusz opracowali Roman Łoboda i Marek Wawrzkiewicz, muzykę napisał Andrzej Hundziak, scenografię zaprojektowała Elżbieta Dietrych, a całość wyreżyserował **Zdzisław Jóźwiak.** Autorzy wyboru wierszy zdecydowali się na prezentację utworów mówiących o tworzywie, o przezwyciężaniu oporu słów, o poskramianiu materii wyobraźni. Auto- i monotematyczność tych utworów stanowiły pewne ryzyko realizacyjne, gdyż adaptatorzy mieli ambicję stworzenia spektaklu teatralnego, nie tylko poprawnego podawania tekstów. Okazało się, raz jeszcze, że wielka poezja, nawet gdy mówi o poezji, niesie w sobie prawdę swoich czasów. Koncert był żywy, udramatyzowany, przemawiał siłą odkrywanego na nowo znaczenia słów, w czym przecież także niemała zasługa aktorów Teatru im. Jaracza, którzy wykonali wiersze ze zrozumieniem i wyczuciem. Momentami przeszkadzała mi muzyka, zbyt tautologiczna, zbyt dosłownie naśladująca treści wierszy, dopisująca do nich mało odkrywcze onomatopeje. Tam wszakże, gdzie wypowiadała samą siebie, przynosiła pełne ekspresji efekty instrumentalne i stanowiła dobry kontrapunkt dla słowa.

Waham się teraz, po wyjściu z teatru, czy „Wyznania" uznać za część integralną obrad festiwalu, czy też dać im etykietkę imprezy towarzyszącej. Ale niezależnie od tego, jakie dam im miano, koncert ten miał związek z dyskusją, a nawet zaważył na obradach. Dostarczył nam argumentów na rzecz tezy, że osamotnienie poezji nie jest wcale takie ostateczne, a tym bardziej nie musi się wiązać z jej społeczną niemocą. W Łodzi zrobiono zresztą dużo, aby to osamotnienie przełamać, reszta zaś zależy od samych poetów, po części też od cierpliwych krytyków-popularyzatorów, jak nie bez racji suponował profesor Jakubowski.

W festiwalowe dni usłyszeliśmy dużo wierszy: utwory nagrodzone w konkursach i zgłoszone do turnieju. Jeszcze więcej usłyszała ich publiczność przysłuchująca się obradom i publiczność na spotkaniach autorskich, których było tak wiele, że zapewne nadszarpnęły porządnie budżet miejski. Zapewne, daleko jeszcze do chwili, aby wiersz wzbudzał takie zainteresowanie jak ligowy mecz, ale w Łodzi uczyniono doprawdy wiele dla uspołecznienia poezji — i to jest bezsporna korzyść piątego festiwalu i tych, które go poprzedziły. „Klasztor liryczny", do którego zepchnięta była współczesna poezja, przestał już wystarczać. Mówiliśmy o udręczeniu, okrążeniu, osamotnieniu, ale przecież każdy głos zmierzał do tego, aby rozwalić zamknięte bramy i furty i wyjść na światło dnia.

Czy to się uda? Nie wiem, czy droga będzie łatwa, ale cel taki na pewno można sobie postawić. Bo jeśli uda się go zrealizować choćby w połowie, staną się zbędne, stawiane choćby przekornie, pytania o to, czy poeci są jeszcze potrzebni. I czy są do nadawania imion rzeczom jeszcze nie nazwanym, jak to pięknie ujęła w swojej wypowiedzi profesor Skwarczyńska.

Ale festiwal, tak zapładniający w myśli o poezji, stał się także przeglądem dorobku współczesnej poezji polskiej w ostatnim okresie czasu. Przeglądem, rzecz zrozumiała, wycinkowym, na tyle jednak reprezentatywnym, że wolno nam stwierdzić, iż nie ma w poezji zastoju. Dowiodły tego tak licznie prezentowane przez aktorów i przez samych twórców wiersze, oraz nowe, nie znane do tej pory nazwiska w najmłodszej poezji: Mirosławy Kużel i Krystyny Rodowskiej. To druga, bezsporna korzyść łódzkiego festiwalu dla poezji polskiej.

Nie można wreszcie przemilczeć jeszcze jednego zysku. Oto po raz pierwszy udało się scalić wysiłek niemal wszystkich środowisk twórczych Łodzi zjednoczonych wobec idei poezji. Pośród imprez towarzyszących festiwalowi wysłuchaliśmy przecież koncertu piosenek łódzkich, do których słowa pisali często poeci (Marek Wawrzkiewicz, Igor Sikirycki) i uczestniczyliśmy w otwarciu wystawy „25 lat łódzkiej plastyki" stanowiącej retrospektywny przegląd dorobku mistrzów pędzla, dłuta i czółenka. Ten pokaz możliwości łódzkich środowisk twórczych z okazji festiwalu, otwierającego Wiosnę Artystyczną, był wartościową wizytówką Łodzi, jako jednego z centrów polskiej kultury. Przełamując izolacjonizm poezji, przełamano w ten sposób wobec festiwalowych gości z całego kraju ich niewiedzę o fermencie artystycznym w tym robotniczym mieście, które przecież powinno słynąć nie tylko z perkali.

Nie ma więc zbytniej przesady, gdy nazywam V Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi — Rzeczą Niepospolitą.

KONRAD FREJDLICH

Półka z książkami

TOKIJSKI BAEDECKER

W znanej i cieszącej się zasłużoną popularnością serii ABC — znalazła się ostatnio książka Olgierda Budrewicza o Tokio. „Tokio może się podobać lub nie, ale nikt nie przejdzie obok tego miasta obojętnie" — rozpoczyna autor swoje „odkrywanie Japonii". Bo jest to w gruncie rzeczy książka o Japonii — nie o stolicy tego egzotycznego i dalekiego kraju, ale właśnie o Japonii.

Myślę też, że dobrze się stało, iż Budrewicz złamał obowiązującą w serii ABC „zasadę alfabetyczną". Często powodowało to naciąganie tematów — często sprawiało wrażenie sztuczności. W książce Budrewicza sztuczności nie ma — jest za to masa informacji, ogromna porcja wiedzy, także statystycznej, ale to dobrze. Książka dzięki temu staje się swego rodzaju encyklopedią, leksykonem podręcznym, możemy z niej czerpać potrzebne informacje o Japonii. Budrewicz zastosował także inny jeszcze zabieg — wprowadził typowo dziennikarskie śródtytuły, znakomicie podnoszące czytelnicze walory książki oraz ułatwiające korzystanie z niej jako z podręcznego leksykonu.

Nie wiem, czy „Tokijskie ABC" jest pierwszą popularną książką o Japonii — jest na pewno pierwszą książką o tym kraju, która zdobędzie bez trudu czytelnika. Wydawnictwo „Iskry" i redaktorzy serii ABC mogą na swoim koncie zapisać kolejny sukces.

(jw)

Olgierd Budrewicz „Tokijskie ABC", Wyd. „Iskry" 1970, cena 20 zł.

OPOWIEŚCI NIEZMYŚLONE

Pięćsetstronicowy tom „Opowieści niezmyślonych" czyta się powoli. Ale też jest to lektura, do której warto i trzeba wracać. Trzeba — bo nie sposób ogarnąć od razu tej ogromnej panoramy wydarzeń literackich, jaką roztacza przed nami autor. Warto — bo jest to pamiętnik nasycony taką mnogością faktów, szczegółów, ciekawostek i informacji, że czytelnik na pewno odczuwać będzie potrzebę szperania w tej mnogości wydarzeń.

Zaczynają się te wspomnienia od cesarskich orłów i c.k. gimnazjum — kończą na pamiętnym Październiku 1956. Kilkadziesiąt lat życia wypełnionych twórczością i działalnością Michała Rusinka i całego pokolenia — albo kilku pokoleń — pisarzy. Jest to pamiętnik szczególnie cenny i ciekawy tak że i z tego powodu, że autor przede wszystkim pisze o innych, maluje środowiska i postacie. Nie koncentruje się wyłącznie na własnej osobie — pisze o życiu, w którym uczestniczy i dopiero na jego tle odnajdujemy bohatera wspomnień. Jest to więc dokument czasu przede wszystkim a dopiero potem biografia pisarska.

Wydawnictwo Literackie ma dobry zwyczaj opatrywać książki wspomnieniowe indeksami nazwisk. W tym wypadku indeks ten sięga 600 nazwisk. Już ten fakt świadczy — choć może zbyt statystycznie — o rozległości spraw i mnogości ludzi przewijających się przez karty „Opowieści niezmyślonych". Dodatkową atrakcją są zdjęcia — często unikalne i nieznane.

W sumie potężny kawał dziejów literatury międzywojennej — spora porcja anegdot i ciekawostek, interesujący dokument pisarskiego trudu na przestrzeni wielu dziesiątków lat.

(jw)

Michał Rusinek „Opowieści niezmyślone". Wyd. Literackie 1969 cena 50 zł.

JANUSZ DUNIN

Drogi księgarstwa naszego

Spieszę zapewnić, że znam statystyki, wiem, że księgarstwo polskie dokonało w ostatnich czasach wiele, że wskaźniki pną się do góry, co roku mamy więcej piękniejszych księgarń, które sprzedają rosnące ilości tytułów i egzemplarzy. Odnośne cyfry można przeczytać m. in. w ciekawym załączniku do polskiego wydania „Rewolucji książki" R. Escarpita i w książce R. Cybulskiego „Księgarstwo w społeczeństwie współczesnym".

Zatrzymajmy się na zjawiskach niepokojących, powodujących, że księgarze należą do najbardziej sfrustrowanych ludzi, że zarówno klienci jak i wydawcy pielęgnują długą listę pretensji wobec „Domu Książki". Pomińmy trudności przez handel księgarski nie zawinione. Kolejne, powszechnie znane kłopoty poligraficzne czy papierowe, powodują braki i opóźnienia w zaopatrzeniu — to jest dla księgarzy siła wyższa. Wyliczmy jednak objawy niedomagań handlu książką, których leczenie musi być podjęte od wewnątrz. System bodźców — plany obrotu, normatywy działają przeciw wielu dziełom. I to często tym, które powstały w wyniku wielkiego społecznego wysiłku i których wartość wydaje się nieprzemijająca. Księgarz broni się przed droższymi, trudno zbywalnymi pozycjami, powodując nacisk zmierzający do zaniżania i tak już niewielkich nakładów.

Np. „Bibliografia polska XIX stulecia" Karola Estreichera której drugie wydanie właśnie się ukazuje, startowała nakładem 5.000 egzemplarzy, tom VII tego monumentalnego dzieła odbito już w nakładzie 1.500 egzemplarzy. A tymczasem w Łodzi części poprzednie tej bibliografii nawet te drukowane w wyższych nakładach, są praktycznie nieosiągalne. Tak więc z jednej strony książka jest niedostępna, a z drugiej strony trwa nacisk na zmniejszenie jej nakładu. Przedsiębiorstwo państwowe, goniąc za doraźnym dochodem, łatwo godzi się na marnowanie wielu milionów, które z innej kieszeni tego samego właściciela płacono na stworzenie tego kolosalnego dzieła.

Przyjrzyjmy się mechanizmowi tego marnotrawstwa: księgarz jest bity po kieszeni, i to tej najbliższej skórze kieszeni prywatnej, jeśli przetrzymuje drogą książkę na półce choćby nieco dłużej. Jeśli nie ma wyraźnych dezyderatów stara się w ogóle uniknąć jej zamawiania. W ten sposób losy edycji naukowych lub innych dzieł nie stanowiących „towaru, który sprzedaje się sam", są często bardzo smutne. Mogą o tym wiele powiedzieć zarówno wydawcy jak i księgarze. W każdym kraju powstaje część dzieł chybionych, płodów urodzonych martwo i tego nie da się uniknąć. Tak więc niezależnie, czy chcemy przysłużyć się kulturze, czy tylko własnej kieszeni, trzeba umieć ryzykować. Kraj, który zdecydowałby się na publikację i sprzedaż jedynie uzgodnionych „pewniaków" handlowych, dopuściłby do wyjałowienia życia kulturalnego.

Trzeba umożliwić również naszym księgarzom podejmowanie twórczego ryzyka. Zawsze w zdrowo rozwijającym się piśmiennictwie dzieła udane w ostatecznym rozrachunku potrafią zarobić na swoich niedowarzonych braci. Nie ma naturalnie tragedii, jeśli część nakładów ulegnie radykalnej przecenie lub znajdzie się w makulaturze. Księgarstwo musi dać jednak każdemu dziełu szansę i otoczyć tym większą troską pozycje, które mimo swej wartości nie są łatwo zbywalnym towarem. Są dzieła przeznaczone z góry dla małego grona specjalistów lub wąskich kręgów zainteresowanych jakąś tematyką, dziedziną wiedzy lub sztuki. Są książki regionalne i środowiskowe — obliczone na specjalnych odbiorców, bestsellery jednego powiatu, kombatantów wspólnej kampanii, absolwentów określonej uczelni. Trzeba umieć dotrzeć do tych ludzi, gdziekolwiek się znajdują.

Są druki, które deaktualizują się szybko, tracą swą wartość wraz z ulotną chwilą. Są inne, które powinny być w sprzedaży całymi latami — zbrodnią czy tylko lekkomyślnością możemy nazwać przecenianie lub zbywanie na makulaturę zbiorów źródeł, bibliografii, słowników naukowych, tłumaczeń klasyków filozofii itp., tylko dlatego, że nie sprzedano ich w ciągu pięciu czy nawet dziesięciu lat. Kraj taki jak nasz stać na reedycję Estreichera, Kolberga lub Lindego nie częściej niż raz na pół wieku. A w związku z ciągłym rozwojem nauki, nowych klientów na pewno nie zabraknie.

Osobny rozdział dramatu książki w Polsce, to antykwariaty. W kraju, który przeżył tak straszliwą zagładę słowa drukowanego antykwariat państwowy powinien być placówką konserwa-

BOGDA MADEJ

Jak pisać anonimy?

Wielu ludzi jest święcie przekonanych, że czasy pośpiechu i techniki, w których żyjemy, nie pozwalają na uprawianie pięknej sztuki pisania listów. A tymczasem prócz wysyłanych z Łodzi 1.740 telegramów w ciągu doby i 1.340 do Łodzi przysyłanych, 293 listonoszy roznosi w swoich pękatych torbach 95.000 samych tylko zamiejscowych listów.

Zawartość większości kolorowych kopert roczarowałaby jednak ludzi doszukujących się wszędzie obyczajowych sensacyjek z życia bliźnich. Kryją one bowiem prozaiczne urzędowe pisma, z których przynajmniej połowa jest niepotrzebna. Gdyby jednak poszperać dobrze w torbach listonoszy, to znalazłoby się jeszcze sporo ciekawych listów, wiele mówiących o życiu i zupełnie nic o autorze. Są to po prostu anonimy.

W dawnych czasach...

W dawnych czasach, wszystkim niezbyt zręcznym stylistom przychodziły z pomocą podręczniki pisania listów, zawierające odpowiednie wzory na różne okazje. Wystarczało tylko zmienić imiona i od razu list był gotowy. Wydany w 1699 roku w Toruniu podręcznik do pisania listów Jakuba Bołyczowicza „Orator Politicus albo Wymowny Polityk Różne traktujący Materye" zaleca taki na przykład wzór listu miłosnego:

Madame, By kto wiedział większe paroxismy serca, nie uleczoną chorobę y owszem gotową śmierć, gdzie kto kogo kocha, a gdy nie widzi. Wszak zwyczaynie WMM. Panna nie będziesz tak tyranką serca mego, żebyś mu życzyła śmierci, y owszem ponieważ się twoią nie może cieszyć prezencyą, bez której umiera, zechcesz go przynaymniej listem twoią ręką pisanym ożywić. O co przy naymniższym ukłonie, uniżenie proszę.

Inne podręczniki, których szczególna obfitość pojawiła się w wieku XIX, przewidywały najbardziej wymyślne sytuacje wymagające posłania listu. Na przykład podawano wzór odpowiedniego pisma „przy posłaniu pasztetu z dzika" lub „z okazji zjedzonej palatynki". Wyjaśnijmy może: palatynka to futrzana narzutka żony zjedzona przez mole, o czym wówczas mąż powinien był na wszelki wypadek poinformować przyjaciela domu.

Dzisiaj, niestety, nie przewiduje się tego typu okazji do wysyłania listów, ani też nie ma takich podręczników. Natomiast w szkole uczy się dzieci pisania życiorysów i podań. Stąd też współczesna epistolografia rozwija się samorodnie, w sposób nieukierunkowany i być może dlatego, niepewni o stylistyczną doskonałość listu autorzy często wolą pozostać w ukryciu.

Próba systematyki

Natchnieni społeczną potrzebą postanowiliśmy dać kilka wzorów anonimów, korzystając w tym przypadku z obfitej korespondencji, jaka napływa do instytucji i redakcji i wybierając z niej wzory najbardziej typowe i udane.

Wzór 1 : — ZAŁATWIAMY PORACHUNKI —

a) „Skrytykujcie panią nauczycielkę. Alinę B. ze szkoły podstawowej w M. w pow. IKS za to, że nie oddziału je wychowawczo na swoich uczniów. W tej wsi często zabawy robi straż, a pani nauczycielka zawsze w nich bierze udział, nie zwracając najmniejszej uwagi na uczniów, którzy są częstymi bywalcami tych imprez. Czy tak powinna wychowywać nauczycielka? Straż również na to nie reaguje.

Były uczeń

PS. Nazwiska nie ujawniam, bo mógłbym z tego tytułu mieć nieprzyjemności".

List taki piszemy w wypadku, kiedy chcemy odegrać się na nauczycielce, kierowniku, koleżance z pracy, księdzu proboszczu, sklepowej, lekarzu itd. Dla przekonania adresata o słuszności swoich oskarżeń niezbędne jest post scriptum, sugerujące o przykrych konsekwencjach, gdyby nadawca podał nazwisko.

b) — „Dobrze się stało, że w telewizji i radio wyjaśniono plotki o wymianie pieniędzy. Może to mojej sąsiadce p. Rączce zamknie gębę. Takim jak oni najbardziej zależy na straszeniu. On jest kierowcą ciężarówki. Mają gospodarkę, budują się przy ulicy R. Wcale nie kryją się z tym, że materiały kupowali na lewo od kierowców wywrotek. Sam zresztą widziałem, jak przywieźli im dwa naście worków cementu. Ludzie, którym się tak dobrze powodzi, powinni siedzieć spokojnie i nie plotkować. Przecież wszyscy pracują, dzieci ich kradną po nocach i chuliganią. Jak dotąd bez karnie.

C. M.

PS. Nie podpisuję się bo pracuję na zmianę i późno wracam do domu. Boję się tych ludzi".

Po ten wzór listu sięga się wtedy, gdy sąsiedzka zawiść wynikająca z odwiecznego pytania: Skąd oni na to biorą? — nie daje spokoju. W sposób stylizowany na nieudolność informujemy odnośne władze o różnych wykroczeniach sąsiadów. Wzór polecany szczególnie dla zawistnych pań, którym uroda i elegancja sąsiadek spędza sen z powiek. W takim przypadku wystarcza zwykle zręczna sugestia o niemoralnym trybie życia.

Wzór 2: MNIE SIĘ TO NIE PODOBA:

— „Byłem w kinie „Wisła" na filmie „Polowanie na muchy", ale nie o nim chcę mówić. Chodzi o dodatek. Widzowie około 20 minut musieli patrzeć na grupę dzieci grzebiących się przy sporządzaniu „kogel-mogel". Jeżeli już takie i tym podobne filmidła muszą być pokazywane, to niechże Film Polski zorganizuje specjalne seanse dla miłośników tego rodzaju obrazów. Przeciętny miłośnik kina szuka czegoś mądrzejszego. Większość wyświetlanych dodatków odstrasza ludzi od kina.

„Bywalec".

Wzór polecany przede wszystkim malkontentom, którym z reguły nie podobają się filmy, spektakle teatralne, książki, artykuły w prasie, aktorzy, programy telewizyjne, nowoczesna architektura, Czesław Niemen oraz wszystko, co narusza ich błogi spokój i raz na zawsze ustalony kształt świata. Uwaga! W tego typu listach pod żadnym pozorem nie należy używać inwektyw w rodzaju: „ty zapluty pismaku", „wyjcu pospolity", „zakuty łbie", „nędzna popłuczyno po Sienkiewiczu" itp., który to błąd z reguły popełniają wszyscy początkujący.

Wzór 3: ANONIMY DO KWADRATU —

„Zwracamy się do wszystkich miarodajnych czynników i apelujemy do władz: milicji, dyrektorów teatrów, profesorów, wykładowców i innych. Nie przyjmować z długimi włosami i brodami. Nie chcemy widzieć jaskiniowców w telewizji, na scenie, w szkołach, pochodach, na zabawach itd. Cóż to? W XX wieku kultura skończyła się? Protestujemy przeciwko kołtunerii i brodaczom. Wypowiadamy walkę tym, którzy w ogłupieniu chodzą z długimi włosami i brodami. Będziemy na ulicach oblewali ich cuchnącymi płynami, ażeby pozbyć się wstrętnego widoku ludojada. Zmusimy ich do przyzwoitego, ludzkiego wyglądu. Oprychów z rozstajnych dróg z maczugą w łapie przekształcimy w normalnych ludzi.

„Studenci UŁ"

Podwójna anonimowość polega na podszywaniu się anonima pod cudzą postać. Pisząc takie listy najlepiej używać maszyny do pisania i języka młodzieżowego, gdyż staroświecki, kaligraficzny kształt liter może zdradzić wiek autora. Polecany dla ludzi zgorzkniałych i bezradnych wobec nieuniknionego upływu czasu.

Wzór 4: POPRAWIAMY RZECZYWISTOŚĆ —

„Postęp i technika wchodzą do naszych fabryk. Dziś wymaga się od przeciętnego pracownika, aby miał skończoną szkołę podstawową. Ale zdarza się, że mistrz, który kieruje grupą ludzi ma ukończonych zaledwie pięć klas. I na to patrzy się przez palce. Często są to ludzie młodzi, jaki więc mogą mieć autorytet u pracowników podwładnych? Proponuję zostawić w spokoju tych mistrzów, którym brak do renty rok czy dwa, a pozostali muszą i powinni zdobyć dyplom, względnie odejść z tych stanowisk".

Ta grupa anonimów poprzez osobiste interesy pisząca cego wykazuje niejakie podobieństwo do listów z grupy „Załatwiamy porachunki". Jednak w hierarchii anonimów jest to już najwyższy szczebel, na którym obowiązuje kierowanie się dobrem ogólnospołecznym. Ponieważ zwykle załatwiamy w ten sposób problemy wagi krajowej, zdecydowanie zbyteczne jest bawienie się w takie szczegóły, jak nazwa zakładu pracy, adres, miejscowość. Dla podniesienia rangi listu można użyć podpisu: „Patriota", „Społecznik", „Gospodarz", „Stary Polak" itp.

Koniec żartów

Można by ciągnąć dalej ten improwizowany „podręcznik pisania anonimów", ale już klasycy literatury krymi nalnej dostatecznie wykazali, że ten gatunek epistolografii do niczego dobrego nie prowadzi. Bo z jakich pobudek ludzie piszą anonimy? Zawsze z tych samych — z zawiści, zazdrości, zemsty czy wreszcie ze zwykłego tchórzostwa. Doszło do tego, że anonimy pisze się w sprawach błahych, mało ważnych, przy których ujawnienie nazwiska niczym nikomu nie grozi. Po prostu anonim stał się i wygodny i modny, czego przykładem jest żarto bliwie potraktowany „podręcznik pisania anonimów". Nigdy by nie powstał, gdyby życie nie dostarczyło przykładów.

Autorkę niniejszego „podręcznika" dręczy jednak inny problem. Wprawdzie wszyscy rozsądni i trzeźwo myślący ludzie zdecydowanie potępiają anonimy i ich autorów, to jednak ci sami ludzie w pewnych wypadkach skłonni są szukać usprawiedliwienia. „No, tak — mówią — ale jeśli ktoś ma zasygnalizować ujemne zjawisko występujące w instytucji i fabryce, a wiadomo, że nikt go za to nie pochwali, to co ma zrobić?" A przecież to pozorne usprawiedliwianie autora anonimów jest w istocie pogodzeniem się z takimi stosunkami, w których krytyka jest tępiona, a krytykujący narażony na różne przykrości. Trzeba powiedzieć otwarcie, że nie może być usprawiedliwienia dla autorów nie podpisanej korespondencji. Zatroszczmy się raczej o stworzenie takich stosunków w pracy, w środowisku czy miejscu zamieszkania, aby nie zachodziła potrzeba pisania anonimów. I o to chodzi autorowi.

Fot. Marek Holzman

cji naszych zasobów a nie jedynie przybudówka „Domu Książki", która musi dać określony dochód i nie troszczyć się o nic więcej. Na bolesną groteskę zakrawa fakt, że na granicach strzeżemy książki polskiej, by nie płynęła do obcych księgozbiorów, podczas gdy księgarze-antykwariusze z ciężkim sercem odsyłają codziennie setki książek wprost do składnic makulatury. Penetracje tych składnic potwierdziły, że znajduje się w nich ciągle wiele wartościowych pozycji. Łódzki antykwariat musi wykonać owe 1.000.000 rocznie obrotu, a w jakich warunkach, jakimi książkami i dla kogo — o to już nikogo głowa nie musi boleć. Czasami boli jedynie bibliofilskie serce pracowników tej placówki, kiedy muszą rezygnować z zakupu wartościowych w istocie pozycji, których po tej decyzji naiczęściej nikt poza składnicą makulatury, nie nabędzie. W antykwariacie kupuje się tylko to, co jako „pewniaki" da się łatwo i szybko sprzedać. Czteroosobowy personel antykwariatu, który goniąc za ciągle rosnącym planem nie ma możności powiększania ofert, pracuje tylko dla grona stałych klientów. Jeśli wśród nich nie widzi potencjalnych nabywców rezygnuje z kupna lub obawiając się ryzyka proponuje zaniżone ceny w nadziei, że któregoś z obrotnych bibliofilów skusi „okazja". W najtragiczniejszej sytuacji znajdują się polskie nuty. Poza składnicą makulatury, trudno dziś w Łodzi o klienta nawet na cenne, unikalne pozycje. Wyjątkowo trudnej, personalnej i lokalowej sytuacji antykwariatu łódzkiego nie usprawiedliwia fakt, że niewiele lepiej dzieje się w innych miastach.

Osobne zagadnienie stanowią księgarnie obcojęzyczne, które w sytuacji drastycznych oszczędności dewizowych pozwalają sobie na import dolarowych dyrdymałów: podręcznika języka niemieckiego dla... Holendrów, szkoły ujeżdżania kuców, lub poradnika jak najlepiej zabawić się na dwudniowej wycieczce na wyspach hawajskich. Tymczasem zamówienia naukowców odkładane są ad acta. I tu działa przymus szybkiego zysku. Zamiast poszukiwać właśnie bardzo potrzebnej komuś broszurki fachowej czy światowej sławy pocket-booku lepiej sprowadzić kilkanaście pozycji luksusowego albumu w cenie paru tysięcy złotych.

Czy księgarze nie widzą tego wszystkiego? Ci, którzy nie są księgarzami z przypadku oceniają sprawy dostatecznie ostro i wspólnie z rzeszą przyjaciół książki boleją nad tym, ale muszą się temu podporządkować. System bodźców jest tu bowiem jednoznaczny. Głównym czynnikiem jest plan obrotów, z roku na rok wyższy; plan ten powinien być wykonany zawsze tymi samymi siłami i to niezależnie od tego, czy wydawcy mieli rok chudy czy tłusty, czy dostarczyli więcej czy mniej towaru. Aby utrzymać więc swój zarobek księgarz musi przerzucić tony papieru, musi dbać przede wszystkim o książkę chodliwą, masową. Niewielkie i ściśle przestrzegane normatywy zmuszają do wielokrotnego w ciągu roku sprzedania posiadanej masy towarowej. Księgarze, których nie stać na zamrożenie grosza w cennej, ale nieco trudniejszej do zbycia książce, bowiem nie jest rozwiązana dotychczas sprawa łatwego zwrotu nie sprzedanych pozycji, wpadają często w panikę. Ostrożność posuwają do przesady.

Pogoń za obrotem i szybkim zyskiem nie oznacza, że we wszystkich poczynaniach „Domu Książki" praktycznego monopolisty na polskim rynku, zysk i obrót są jedynymi bogami. Byłoby to niezbyt mądre, ale przynajmniej konsekwentne. To co, że wydawca lub kultura tracą, ale my przynajmniej zarabiamy. Te kryteria nie zawsze działają, gdy chodzi o oko w głowie, zewnętrzny objaw rozwoju przedsiębiorstwa — rozwój sieci. Możemy poszczycić się coraz większą ilością księgarń, nie żałujemy kosztów na niszczenie porządnych jeszcze niekiedy regałów, aby zastąpić je nowymi. Nie byłoby to zdrożne i cieszyłoby, gdyby nie szło w parze z obniżeniem jakości usług księgarskich. W najlepszych punktach miasta księgarnie są nie wykorzystane zbyt mały personel nie ma zwykle czasu na spokojne opracowanie zamówień i obsłużenie bibliotek, co w naszych warunkach jest najważniejszym zadaniem, bo tylko w ten sposób książka ma zapewnione maksymalne wykorzystanie. Koncentracja sił dałaby znaczne oszczędności, książka nie straciłaby swych szans. Kiedy przeciętny obywatel rusza na miasto na pozornie bezcelowy spacer, w odwiedziny do przyjaciół itp., otwarte są kwiaciarnie i cukiernie, szereg sklepów z alkoholem, ale zamknięte salony „Domu Książki".

Koncentracja sił księgarskich, podniesienie ich kwalifikacji, a co za tym idzie pozycji społecznej kadr (kiedy doczekamy się uniwersyteckich studiów dla tej czołówki frontu kulturalnego?), nie musi iść w parze z zawężeniem kolportażu. Znacznie bogatszych od nas krajów nie stać na nadmierne rozbudowanie księgarń. Obok wyspecjalizowanych placówek, w których w ciągu kilku dni załatwiane są najbardziej wyszukane życzenia z kraju i z zagranicy, istnieje tam sieć różnego rodzaju punktów sprzedaży tanich, ale często wartościowych książek — kieszonkowców, serii popularnych itp. Są one stałymi gośćmi w tzw. drug-storach, trafikach, na specjalnych stoiskach w domach towarowych w kioskach prasowych a nawet u domokrążców.

Kolportaż ten wymaga specjalnej reklamy, specjalnych katalogów dla kolporterów, opieki. To ważne zadanie księgarskie. Dopóki „Dom Książki" będzie traktował różnego rodzaju kolporterów jako potencjalnych konkurentów, póki w kioskach będą straszyły książki nie przystosowane do tej formy sprzedaży, póty nie będzie można mówić o prawdziwym, masowym kolportażu. Kiedy dobrze zorganizowany kolportaż zdejmie z barki księgarni troskę o masowego odbiorcę, będzie ona mogła spełnić swoje rzeczywiste wobec kultury zadanie.

EWA OSTROWSKA

Powrót

(Fragment powieści)

Surowy masyw kościoła, rzygacze otwierają swoje paszcze; ksiądz Ziętek pewno też już nie żyje. Zawahała się przed wejściem. Cofnęła.

Lecz nagle poczuła, że ktoś przy niej stoi. Obejrzała się: nie było nikogo, tylko jej własny cień kładł się po ziemi.

— To ty? — zapytała.

— Ja, Helenko — odpowiedział.

— Nareszcie, dziadku. Na pewno ty?

— Na pewno.

— Tak się cieszę, dziadku.

— I ja się cieszę. Czekałem na ciebie.

— Więc wiesz, że chciałam wrócić do ciebie?

— Wiem. I wróciłaś.

— Ale ciebie przecież nie ma. Nie żyjesz. Nie ma cię. Nie ma nikogo.

— Posłuchaj. Słyszysz: jestem.

— To zrób, żebym znowu była Helą, małą dziewczynką.

— Chodź ze mną.

Przyjemny chłód ogarnął ją i ośle piona blaskiem słońca a może łzami nie widziała początkowo nic, dopóki wzrok nie przyzwyczaił się do kościelnego półmroku. A potem zobaczyła:

Gwiaździste sklepienie. Czerwone światełko tabernakulum. Blade panny z liliami w chudych dłoniach snujące się na średniowiecznych polichromniach. Rząd stallag, ciężkich i ciemnych. Jak rząd trumien.

Szła środkiem, między stallagami, powoli, uroczyście. Nie uklękła, nie wierzyła przecież w kościelnego Boga, ukrytego w złocie monstracji. Kroki dźwięczały pustym echem, w wystygłym o tej porze kościele. Spadały lawiną z gwiaździstego, wirującego sklepienia.

I oto zagrzmiały organy silnym, radosnym akordem: Do kraju tego, gdzie winą jest dużą, popsować gniazdo na gruszy bocianie — poznawała swoją powitalną melodię. Ożyły blade panny na średniowiecznych polichromniach. Pan Wiesio, organista, zawołał: Hela, Hela, a chcesz ty miętowego cukierka? Ksiądz Ziętek w złotej „kapie" schodził od stóp głównego ołtarza: „Jak się masz, Hela, moje dziecko", powiedział ksiądz — „Witaj między nami". Ludzie wychylali się z ław, pozdrawiali: „Hela, witaj, jak się masz", ciocia Pola ocierała łzy, wujek Franek nawet blado się uśmiechał, więc jesteście, wszyscy, pan Koszykiewicz macha czerwoną chorągiewką zawiadowcy stacji, pan burmistrz robi miejsce koło siebie, jak się macie, moi kochani, moi drodzy, najbliżsi, witam was, wróciłam, jestem z wami, będę zawsze.

— Witaj Helenko — mówi dziadek.

Organy śpiewają: do kraju tego, gdzie winą jest dużą popsować gniazdo na gruszy bocianie, bo wszystkim służą — gra pan Wiesio, ale czy to on gra? czy to lasy szumią? czy to rzeki płyną? czy ogrody kwitną? czy sady nabrzmiewają owocem, a ziemia plonem, czy ajer się kołysze — do kraju tego?

— Dziadku?

— Hela — Hela — Hela — powtarza echo.

— Znowu odchodzisz? Gdzie jesteś?

Jest po prostu tylko cisza. Zamarło echo kroków, ostatni umilkł pod gwiaździstym sklepieniem.

I zrozumiałam, że to moja nadzieja była tylko echem, które dawno temu przebrzmiało. Pragnęłam dokonać cudu: ożywić echo; mimo swojej dorosłości uwierzyłam w jego spełnienie; przez tyle lat otaczał mnie świat nieprawdziwy, nierealny, chociaż nadawałam mu wszelkie atrybuty realności i konkretu: tyle razy przecież rozmawiałam z panem Koszykiewiczem, setki razy kosztowałam truskawkowej konfitury podczas powitalnej kolacji u pani Koszykiewiczowej, tysiące razy słyszałam powitania znajomych; po wielokroć pokazywałam swoje mięśnie i ręce — zdolne do pracy — panu burmistrzowi.

Lecz moja jabłonka uschła, a mój ogród zdziczał. Zielska wypełzły na ścieżki, porosły moją drogę, gdzie szukać nowej? Nie odnajdę swoich dawnych kroków, a myślałam, że jeszcze wciąż błądzą po orneckich uliczkach. Zmurszała weranda, nikt jej nie naprawiał, nikomu nie była potrzebna, to tylko dla nas, dla babci, dla dziadka, ta weranda stanowiła symbol rodzinnego domu, jakże może być dom bez werandy, panie burmistrzu?, pamiętam słowa babci: jakże może być dom rodzinny bez pochylonej nad nim brzozy, bez jarzębiny czerwonej, bez czeremchy? Wyrąbano brzozę, wyrąbano jarzębinę, nowym lokatorom przeszkadzały, i nasz dom zdziczał, wprowadzili się do niego nowi ludzie, ustanowili nowe zwyczaje i prawa, jakże odmienne od tamtych naszych: ponumerowali mieszkania jak klatki, dorobili klucze do drzwi, pozakładali zamki w obawie przed złodziejami, w naszym rodzinnym domu nie było ani kluczy, ani numerów, ani zamków, jedynie podczas wojny zamykało się furtkę od podwórza, nie przed złodziejami — ale przed wrogiem. W naszych drzwiach nie było „judaszy", drzwi domu rodzinnego stały zawsze otworem, bo gość w dom, Bóg w dom, jakże drzwi przed gościem zamykać?

I wiem już, chociaż tam jeszcze nie byłam, że nie ma tego rozwalonego domu, który miał mi dać pan burmistrz, a który ja miałam odbudować dla siebie, i wiem też, że nie ma już mojego dawnego pana burmistrza. Dom nad jeziorem zamienił się z pewnością w kupę gruzów, jeżeli w ogóle jakieś gruzy po nim zostały? A może wybudowano z tamtej strony molo, lub przystań kajakową, bo to malownicze miejsce? Miasto się rozrosło, sądziłam, że znam wszystkie jego ulice, każdą bramę każdego domu, każde okno w każdym domu, że trafię wszędzie z zamkniętymi oczami — no we ulice, nieznane bramy, obce okna, ostatni ślad po gruzach uprzątnięty, nawet kocie łby wylane asfaltem. Tutaj była kiedyś łączka, na której kwitły jaskry, teraz stoi trzypiętrowy blok, pawilon gospodarczy, tutaj rosły akacje, lipy, teraz jest ogródek jordanowski, i pretensjonalny skwerek z fontanną pośrodku; nie znam tego miasta, a przecież ciągle jeszcze wierzę, że ono jest moje.

Minęłam hotel, czekają tam na mnie matka i Paweł, z czym do nich przyjdę, co im powiem?

Znowu przechodzę, po raz drugi dzisiaj, koło mojej starej szkoły, schodzę w dół wąską uliczką, idę długim mostem, rzeka płynie, rzeka płynie, woda jej czysta, widać dno, jasny piasek, wierzby obrosły rzekę, czy wierzby tu rosły, kiedy ja byłam Helą, małą dziewczynką? — nie pamiętam, tutaj powinien stać maleńki domek z jednym okienkiem, za którym mieszkała Funia — krawcowa, nie ma domku, patrzcie patrzcie, jest kino; a tu, na rogu ulicy, był kiedyś sklepik — drewniana budka, sklecona prowizorycznie z desek, kupowałam czerwone, nadziewane marmoladą „raczki" na patyku, jest teraz stacja benzynowa, i całe nowe miasto tu zbudowane, ta mapa, którą posługiwaliśmy się z Pawłem, jeżdżąc palcem od Olsztyna do Ornety, musiała być bardzo niedokładną mapą.

Tylko to drugie miasto trwa niewzruszenie w tym samym miejscu.

Już słyszę jego ciszę, chociaż jeszcze nie przekroczyłam wysokiej bramy z czerwonej cegły. Ogarnął mnie nagły lęk: czy trafię do ciebie, dziadku? Czy nie zgubię wśród nowych ulic tego śpiącego miasta, nie stracę śladów pośród nowych alei?

Ostry żwir chrzęści pod nogami.

Urywa się cisza krzykiem powitania, wyciągają krzyże ramiona, wołają mnie: Hela! Hela! — Stanisław Koszykiewicz, żył lat sześćdziesiąt osiem, prosi o zdrowaś Mario, zdrowaś Mario, zdrowaś Mario, błogosławiony owoc żywota twego, plączą się słowa modlitwy, niech pan wybaczy, panie Koszykiewicz, jak się pan miewa, i kto by przypuszczał, że tu się spotkamy?, Konstanty Zubowicz, żył lat osiemdziesiąt, jakże to? był aż tak stary?, oni wszyscy tu — kiedy zdążyli się zestarzeć, kiedy zdążyli umrzeć? — Marcinkiewicz, Pietkiewicz, Lechtarowicz, Iwaszkiewicz, Lenartowicz, Lipiec Konstanty, Lipcowa Klementyna; nie przeżyła pani babci, pani Lipcowa, pokój dla pani i wieczne odpoczywanie, dzień dobry wam, witam was wszystkich, Ziętek Apoloniusz, żył lat osiemdziesiąt osiem, piękny wiek, proszę księdza, ksiądz pozwoli, teraz ja księdzu zaśpiewam powitalną piosenkę, ksiądz posłucha: do kraju tego, gdzie winą jest dużą, cieszę się, że księdzu się podoba, ja sama ułożyłam melodię; Wiesław Korkozowicz, jak się pan ma, panie Wiesiu, gdybym wiedziała, że pana tu spotkam, przyniosłabym panu miętowego cukierka, Hela, chcesz ty miętusa? wołał zawsze pan Wiesio, organista; wierny, spoczął przy swoim księdzu, z jakże wieloma musze się tu witać, nie myślałam, że aż tak trudno będzie mi dojść do ciebie, dziadku. Horotyński Witold, Apolonia Przesławska.

— Spotkaliśmy się wreszcie.

Brzozowy krzyż, ten krzyż wcale się nie postarzał, jakże to być może, że on nie postarzał się, przez lat dziesięć?, jakby wczoraj przyniesiony z lasu, jakby wczoraj brzoza obciosana, wilgotna, świeża, młoda? Gorejąca czerwienią piwonia rozkwita pod krzyżem. Jakby dzisiaj dopiero wyrosła, jakby przed godziną zaledwie rozkwitła. Złotymi sercami mrugają stokrotki, białymi kryzami kołyszą się rumianki. Pach nie różowa koniczyna.

Horotyński Witold, Apolonia Przesławska.

Goreje wonna piwonia, uśmiechają się złote serca kwiatów, i teraz wiem, że jednak miałam rację, opowiadając swoją bajkę, wierząc w echo, budując z niego najwspanialsze ogrody. Brzozowy krzyż wyrasta na grobem, ktoś tu musi często przychodzić, troszczyć się o was, czyjaś ludzka pamięć ocaliła was od zapomnienia, więc trwacie, więc żyjecie pośród tej pamięci, przebyłam do was długą drogę, — i nagle jestem teraz przez krótką chwilę, jak oddech krótką, jak uderzenie serca, przez krótką chwilę znowu jestem — już tylko byłam — Helą, małą dziewczynką.

— Hela! Hela!

Wołają mnie. Witają.

— Hela! Hela!

— Hej! Hej! Jestem, wróciłam.

— Hela!

Podnoszę twarz z ziemi. Kto mnie tu może wołać?

— Hela Nie poznajesz mnie, Hela?

To słońce tak mi prosto w twarz, aż oślepia, albo ziemia czarna, ziemia cmentarna, słońce? czy ziemia?, odgarniam je dłonią, chcę odrzucić z oczu, kto tu mnie woła?

— Ach, Hela, doprawdy! Helusia!

Ogarniają mnie ręce: jakie szorstkie, jakie znajome — to ty, babciu? witaj babciu, pachną twoje ręce jak bochen dobrze wypieczonego chleba i są brązowe jak bochen dobrze wypieczonego chleba.

— Helusia! Doprawdy! Ta patrzajcie państwo, ty mnie nie poznawszy?

Krzak piwonii goreje, młoda brzoza rośnie nad tobą i w tobie, i z ciebie, dziadku, uczyłeś mnie, że ziemia jest wieczna. Pochylam się do rąk, spracowanych jak ziemia.

— Poznałam.

— Tak ja i wiedziałam, że wrócisz. Dobrze ja wiedziała, co? Zawsze panu Wiciowi mówiła, aby się nie zamartwiał, nie kłopotał, mówiłam mu: taż ona wróci, panie Wiciu, do pana wróci, do nas wróci wszystkich, do domu swego musi wrócić. Dobrze ja mówiła panu Wiciowi, Hela, a? Dobrze?

— Bardzo dobrze, pani Perwenisowa.

— Tak i mówiwszy: wróci, panie

Dalszy ciąg na str. 9

Andrzej Grün — „Odlatująca" (grafika).

Poniżej drukujemy w dalszym ciągu wiersze nagrodzone w konkursie na utwór poetycki, na V Ogólnopolskim Festiwalu Poezji w Łodzi.

ZENON DUNAJCZYK — (III nagroda)

Świadomość

Ja świadomością tych idei
— we śnie się stałem — narodowych
ze mnie się prawdy jęły krzewić
w mój oratorski gest ubrane
ciało pokryte bujnym włosem
polerowane w pełnym słońcu
sprostało próbie — każdy biceps
nabrzmiewał siłą płodnej woli
w palbach muszkietów huk kamieni
toczących nieustanne racje
obok śmietników historycznych
obrastał w jeszcze większą siłę
Nikt w strzelaninie nie przemykał
z zatkniętym w kuper piórkiem strachu
ani się w fałszu nie pogadził
związując nogi do pełzania
Gdy gromy w sprawy narodowe —
wzajem się z rury nie wygarnia
osieł się z drzewcem nie opatrzy
i zając dobry w skórze byka
Ale pogłosy cichną — spada
tętno i biceps znów flaczeje
W ciszę powraca liszaj z pleśnią
i lgnie do buta który sprawdza
czy czasem to nie p e n i c i l i u m

...a to jest owo wiczne ku-ku —
właśnie Historii wsteczne oko
zagarniające sen z powieki...

STANISŁAW MISAKOWSKI — (III nagroda)

Nikt

nikt nie wyszedł
z koszykiem
po rozsypane
owoce

nikt nie zabił skorpiona
nie złapał raka
nie schwycił w sieć
ryby

nikt nie spłoszył orła
nie ujarzmił lwa
nie zwalczył byka

nikt nie potruł psów
nie zepchnął w dół wozu
nie zaprzągł pegaza

nikt nie porwał panny
nie poruszył strun liry
nie zdjął korony
nie zwalczył marsa

nikt
poza człowiekiem
który się o świcie
zwyczajnie
obudził

RYSZARD HUNGER

Obrazy Teresy Klink

Kiedy chciałem obejrzeć wystawę Teresy Klink w Teatrze Wielkim okazało się, że broni do niej dostępu portier i grupa bileterek. Trudno ich przekonać, że interesuje mnie mały obrazek, a nie wielka opera. Fakt ten ogranicza grono zwiedzających do przypadkowych widzów, którzy zabłądzą w czasie jednej z przerw do nie najlepiej przygotowanej salki wystawowej.

Wydaje się, że miejsce to nie jest najlepsze dla debiutów, bo nie daje możliwości do szerokiej prezentacji.

Pierwsza wystawa indywidualna jest dla artysty i środowiska wydarzeniem ważnym. Zapowiada nową drogę, której przebieg będziemy od tej pory śledzić z większym lub mniejszym zainteresowaniem w zależności od konkretnych realizacji.

Początek drogi Teresy Klink jest już określony i wywodzi się bezpośrednio ze studiów w PWSSP w Gdańsku, gdzie indywidualność i autorytet Piotra Potworowskiego odegrały rolę najważniejszą.

Widać to wyraźnie w takich pracach jak: „Martwa natura zielona", „Martwa natura czerwona" czy „Deszczowe refleksje". Obrazy te znamionują subtelne zestawienia kolorów zawężonych do jednej gamy, która dzięki odpowiednim nasyceniom prezentuje swą pełną skalę i bogactwo.

Innym środkiem godnym podkreślenia w wypadku „Martwej natury zielonej" jest światło, które w sposób kunsztowny, a zarazem dynamiczny organizuje kompozycję obrazu, przywodząc na pamięć martwe natury barokowe.

Obrazy te należą do najlepszych na wystawie, dzięki wspomnianym zaletom i dzięki sprawności warsztatowej, którą się zauważa.

Obraz pt. „W pracowni" podobny w nastroju do poprzednich traci, niestety, wiele przez niedokładności warsztatowe, a niektóre inne, jak: „Strefa palagiczna", „Groby pseudonimy", „Odejście nocy" i „Swoisty relaks" tracą prawie wszystko. Zaznacza się tu zwłaszcza nieumiejętne operowanie czernią, która zamiast włączać się w ogólne działanie obrazu, powoduje jego rozbicie i sprawia wrażenie niechlujności, która w tego typu malarstwie wyjątkowo razi.

Może należy zapisać to na karb pośpiechu, w jakim artystka realizuje swoje prace, a może dość powszechnej tendencji panującej wśród młodych twórców odsuwających sprawy warsztatowe na plan dalszy.

Znajduje się na wystawie kilka obrazów sygnalizujących poszukiwania wychodzące poza przyjętą koncepcję. Prymitywizujące pejzaże „Chaty rawskie" i „Ziemia sandomierska", których kontynuacja może przynieść efekty raczej wątpliwe oraz dwie prace różniące się wyraźnie od pozostałych: „Penetracje" i „Między porami roku". Obrazy te charakteryzują się pewną precyzją warsztatową i zróżnicowaniem w sposobie kładzenia farby od laserunków aż po gęstą fakturalną plamę. Znamionuje je również graficzne operowanie walorem i bardziej ekspresyjna forma, która w połączeniu z poprzednimi doświadczeniami kolorystycznymi może doprowadzić do nowych, posiadających większe piętno indywidualności, rezultatów.

JACEK BIEREZIN

„Zbyt mężny w niepewności"

W omówieniu tym, nie będę się zajmował rangą artystyczną wierszy Herberta, ponieważ nie budzi ona niczyich wątpliwości. Ze względu na konieczność wypowiedzi skrótowej ograniczę się do próby wskazania genezy tej poezji, będąc przekonanym, że stanowi ona o jej istocie. Poszukując źródeł poezji Zbigniewa Herberta musimy w końcu natrafić na kwestie dotyczące doświadczenia osobistego poety. Herbert jest prawie rówieśnikiem Baczyńskiego, Gajcego, Trzebińskiego, a więc jednym z tych, którzy przeżyli kryzys wartości humanistycznych w sposób najbardziej namacalny, bo w czasie wojny. Miałby więc pełne prawo do katastrofizmu; tym bardziej, że niejeden jeszcze kryzys wartości dane było przeżyć temu poecie. Po wojnie przyszedł okres stalinizmu. Herbert był w tym czasie jednym z nielicznych intelektualistów, którzy — jak sam pisze w wierszu „Szuflada" — do szuflady pisali „młodzieńczy śmieszny swój testament". A jednak, wbrew tym doświadczeniom, postawa jaką potwierdza Herbert swoim ostatnim tomem poetyckim* jest godna miana heroicznej. Smutnej, ale heroicznej. Dzieje się tak dlatego, że, jak słusznie zauważa Jan Błoński w swoim świetnym i bardzo wnikliwym eseju o twórczości Herberta (Poezja, nr 3, 1970),: „Rozwiązał on bowiem kryzys wartości odwrotnie niż rówieśnicy (czy poprzednicy): w tym zresztą oryginalność poezji, która sprzeciwiła się ogranej rozpaczy i łatwemu zagubieniu."

A oto fragment wiersza „Dlaczego klasycy" zawartego w omawianym tu tomie:

Jeśli tematem sztuki
będzie dzbanek rozbity
mała rozbita dusza
z wielkim żalem nad
sobą
to co po nas zostanie
będzie jak płacz
kochanków
w małym brudnym
hotelu
kiedy świtają tapety

W swojej poezji daje Herbert wielokrotnie dowody dramatycznej walki wewnętrznej, walki egzystencji empirycznej z istotą człowieczeństwa, z której zwycięsko — jakim kosztem, inna sprawa — wychodzi istota człowieczeństwa. Bo też chce ta poezja za wszelką cenę i na przekór doświadczeniom, za wodom i świadomości przegranej — ocalić wartości, które uznała za słuszne. Herbert ma świadomość tego, o czym mówi w różnych momentach filozofia marksowska, że historia jest walką o wolność i postęp ludzki, albo przeciwko wolności i postępowi. W tej walce chce on uczestniczyć po stronie wolności i postępu. Stwierdźmy zatem, że źródła tej poezji są etyczne. Dramatyzm poetycki zaczyna się dla Herberta tam, gdzie dostrzega on nieprzystawalność ideału do rzeczywistości.

Czy naprawdę nie
można mieć zarazem
źródła i wzgórza idei i
liścia
i przelać wielość bez
szatańskich pieców
ciemnej alchemii zbyt
jasnej abstrakcji
(„Ścieżka")

Jednocześnie jest w tej poezji tęsknota do ładu, tęsknota do sprowadzenia wszystkiego do stosunków najprostszych. Herbert — mimo klasycznej edukacji i klasycznych wzorców — jest romantykiem, który chciałby bardzo móc być klasykiem, ale nie pozwala mu na to historiozofia, doświadczenie potoczne i własna świadomość. W jednym ze swoich poprzednich tomów wierszy sformułował tę niemożność wyraźnie. Oto proza poetycka pod znamiennym tytułem „Klasyk":

„Wielkie drewniane ucho zatkane watą i nudziarstwami Cycerona. Wielki stylista — mówią wszyscy. Nikt już dzisiaj takich długich zdań nie pisze. I co za erudycja. W kamieniu nawet umie czytać. Tylko nigdy nie domyśli się, że żyłki marmuru w termach Dioklecjana to są pęknięte naczynia krwionośne niewolników z kamieniołomów."

Nawet w wierszu „Dlaczego klasycy", owi klasycy, czy raczej Tucydydes, symbolizują „klasyczne", bo „nieprzemijalne" wartości, które trzeba ocalić. Nie oznacza to, że wiersz ten jest, choćby w najmniejszym stopniu, manifestem klasycyzmu jako postawy: nie jest Herbert bowiem piewcą ładu i harmonii świata, a raczej przeciwnie; reprezentuje typ myślenia dialektycznego i sceptycznego. Ład, pewność, harmonia występują u Herberta wyłącznie, bądź w kontekstach ironicznych, jako utopia, bądź w kontekstach emocjonalnych, jako marzenie:

(...)
trzeba śnić cierpliwie
w nadziei że treść się
dopełni
że brakujące słowa
wejdą w kalekie zdania
i pewność na którą
czekamy
zarzuci kotwicę
(*** Zasypiamy na słowach...)

W pewnym momencie Herbert zajmuje postawę osobliwą. Okiem sceptyka spogląda na „idealny" model i kompromituje go. Wiersz „Sprawozdanie z raju" jest ośmieszeniem życia bezkonfliktowego, bez reszty zorganizowanego, groteskowym obrazem spotworniałej, idealnej stabilizacji.

Herbert nie wyciąga jednak z tych kolejnych doświadczeń poetyckich ostatecznych wniosków i tu spotyka nas mały zawód.

Poeta stwierdza bowiem nieprzystawalność ideału do rzeczywistości, „istoty" człowieczeństwa do egzystencji empirycznej, ale jednocześnie wydaje się nie być do końca świadomym tego, co stwierdzili już co odważniejsi filozofowie; że owa nieprzystawalność jest warunkiem twórczej energii kultury i w tym sensie jest warstością. Nasze rozdarcie wewnętrzne wynikające ze świadomości niejednorodności świata rzeczy i świata wartości — jeśli tylko nie przeradza się we frustrację i łatwy pesymizm jest niezwykle płodnym czynnikiem kulturotwórczym. Świat bez konfliktowy przestałby być światem ludzkim. Człowiek, w świecie idealnym, nie musiący dokonywać wyborów moralnych, przestałby być człowiekiem, zostałby zdegradowany do cielesności, do rzeczy.

Zatem to, co powinno nas frustrować w kulturze okazuje się warunkiem jej twórczego rozwoju.

Oczywiście jest to świadomość heroiczna, nie szukająca pocieszeń, uznająca autentyczną sytuację ludzką w świecie. Nie wyklucza ona jednak wiary w to, że — jak powiada Filozof — mimo wszystko świat ten nadaje się do naprawy i ogromnym wysiłkiem, ogromnej ilości ludzi można w nim uczynić maleńką zmianę na lepsze.

* Zbigniew Herbert — „Napis". Czytelnik. Warszawa 1969. Wydanie II.

Andrzej Grun — „Ziemia jałowa" IV — grafika

Przeszłość i teraźniejszość

Podróżnicy po przeszłości

Z ryciny uśmiecha się do nas starszy, wąsaty jegomość o pogodnym obliczu. Andrzej Abramowicz wyciągnął jego portret z dawnego „Rocznika dla Archeologów, Numizmatyków i Bibliografów Polskich" i opatrzył nim esej o jednym z najoryginalniejszych polskich miłośników słowiańskich starożytności z ubiegłego stulecia — Tadeuszu hr. z Wolan Wolańskim. Archeolog — amator urzeczony romantycznym słowianofilstwem, przez całe swe długie życie tropił po całym świecie ślady bytowania Słowian — i tam, gdzie kiedykolwiek oni byli, a zwłaszcza zaś tam, gdzie ich nigdy nie było. Wierząc święcie, że Słowianie posługiwali się niegdyś pismem runicznym, odszukiwał je na monetach celtyckich a nawet na etruskich grobowcach. Nowożytna archeologia arcykrytycznie oceniła jego pisma, których jest spora wiązka, powiedziano bowiem o nich, że z naukowego punktu widzenia są najzupełniej bezwartościowe. Jeden z naszych najwybitniejszych archeologów współczesnych wyraził nawet zdumienie, że niektórzy poważni uczeni za graniczni brali pomysły Wolańskiego na serio i korzystali z jego pomocy przy odczytywaniu różnych trudnych napisów, z czego ów „wywiązywał się w sposób fantazyjny, dowolny i słowianofil ski". Czy jednak naprawdę jest się czemu dziwić? W początkach archeologii słowiańskiej nie tylko takie głowy, jak Wolański, lecz i wiele kroć poważniejsi badacze byli urzeczeni najróżniejszymi niedorzecznymi teoriami. Złudzeniu runicznemu ulegały podówczas najpoważniejsze naukowe autorytety.

A. Abramowicz w swej pięknej książeczce „Podróżnicy po przeszłości. Szkice z dziejów archeologii", wydanej właśnie przez Łódzkie Towarzystwo Naukowe (1970), zaproponował swym czytelnikom wycieczkę do krainy naukowych fantastów. O ile w swej poprzedniej książce „Wiek archeologii" (1967) pokusił się o szczegółowe przedstawienie dziejów polskich zainteresowań i badań archeologicznych w wieku XIX, to teraz skupił swą uwagę na wybranych postaciach spośród tych, którzy te dzieje tworzyli i zaprezentował sesje o polskich miłośnikach najdawniejszej przeszłości. Przypomniał ludzi zapomnianych, bądź znanych, lecz z innej strony ich zainteresowań i działalności, tych, którzy „głodno i chciwie" zabiegali wokół odnalezienia i utrwalenia dla potomnych najróżniejszych śladów odległej przeszłości.

Książeczkę tę otwiera szkic zatytułowany „Podróżnicy po krajach przeszłości". Relacjonuje w nim autor podróże naukowe, jakie w celach historycznych podejmowali w ubiegłym wieku różni polscy uczeni i pisarze. Wędrujemy więc po dalekich krajach wraz z Janem Potockim, który — jak rzekł o nim Mickiewicz — „z miejsc dochodził dziejów, czego żaden historyk nie czynił", Aleksandrem Sapiehą, Edwardem Raczyńskim, Józefem Julianem Sękowskim i Wacławem Rzewuskim. Zastanawiamy się nad wkładem tych i innych jeszcze podróżników dla dziejów polskiej myśli archeologicznej. Zdaniem autora „chyba najważniejszą ich zasługą było nauczenie się i uczenie im współczesnych rozumienia i oceniania materialnych pomników przeszłości", a także rozszerzenie horyzontów poza krąg starożytności klasycznych. „Odkrywali oni dla nauki polskiej starożytności Afryki północnej, Egiptu, Libanu, Syrii, Troady, Archipelagu, Wybrzeża Dalmatyńskiego i podnóża Kaukazu. Co więcej, odkrywali lub chcieli odkrywać, jak J. Potocki, Al. Sapieha, Z. D. Chodakowski, później E. Raczyński — starożytności słowiańskie, równie jak inne godne poznania lub nawet godniejsze".

Historyk archeologii powinien się wedrzeć na dobrze ogrodzone poletko historyków naszej literatury. W kolejnym eseju opatrzonym tytułem „Wincenty Pol i Władysław Syrokomla jako archeologowie" przedstawił zainteresowania starożytniczo-archeologiczne obu tych, tak niegdyś popularnych pisarzy. Nie przecenił jednak ich roli i nie udowodnił — bo dowieść tego było nie sposób — że Pol zajmuje w historii archeologii to samo miejsce, jakie mu niedawno przyznano w historii polskiej geografii. „Wincenty Pol jako archeolog, mimo oczywistych i niedocenionych zasług na polu organizacyjnym jak też koncepcyjnym, nie zaważył dobitniej na rozwoju tej dyscypliny wiedzy w Polsce. Są natomiast ślady, że zaważył na niej jako geograf".

„Tom „Podróżników po przeszłości" — powiada autor — nie ma osobnego zakończenia. Zamiast niego można by napisać plan dalszych poszukiwań, ponieważ do wyczerpania problematyki historii archeologii jest jeszcze bardzo daleko". Dla czego dyscyplina, która zajmuje tak poczesne miejsce w kompleksie nauk historycznych w naszym kraju, może się pochwalić pięknymi sukcesami w skali międzynarodowej, dopiero teraz sięga ku własnej przeszłości? Czyżby dotąd wstydziła się, że tak wiele było w niej fantastycznych domysłów i nieprawdopodobnych hipotez? A przecież gdyby nie te karkołomne nieraz domysły, gdyby nie te amatorskie niegdyś poszukiwania, nie byłaby dziś archeologia tą dyscypliną naukową, jaką jest dzisiaj. I warto to sobie uświadomić.

JÓZEF GRZELAK

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Jest się czym chwalić!

Przed wiekami jeden z prymasów Polski postanowił wybrać się do Rzymu i aby było ładniej kazał swoją delegację ubrać w ludowe stroje. Tak to się podobało papieżowi, że do dziś jego gwardia nosi podobne do tych strojów mundury.

1.

Wincenty Kazimierczak, słysząc tę opowieść zaraz pyta:

— Kiedy to było?

Opowieść dotyczy stroju łowickiego, a Wincenty Kazimierczak jak nikt zna się na sprawach łowickiego folkloru. Tu się urodził, wychował, tu mieszka i tylko od czasu do czasu — a jest to dość często — wybiera się z Łowicza w świat ze znaną ekipą radiowego „Wesołego Autobusu".

— Kiedy to było — pyta i gdy słyszy, że gdzieś w XVI czy XVII wieku, to powiada — nieprawda!

— W Księstwie Łowickim pańszczyznę znieśli — wyjaśnia cierpliwie — w 1832 roku i właśnie od tego czasu datuje się rozwój stroju łowickiego i rozkwit folkloru łowickiego.

Na pewno ma Wincenty Kazimierczak rację, że tak dba o prawdę, ale trudno jest walczyć z lokalnym patriotyzmem, dumą z miejsca, gdzie się urodziło lub osiadło i chęci, aby to miejsce było jak najbardziej znane, poważane i podziwiane, bo z tego i na jego mieszkańców spływa część splendoru.

2.

Każdy ma się czym pochwalić, a jeśli nie ma, to ludzie z fantazją dorobią i legendę i dzieje i fakty, że palce lizać. Łowicz jest w innej sytuacji. Przeszłość nagromadziła tu takie bogactwo, że tylko brać i wybierać. W barokowej kaplicy freski Michała Anioła Palloniego. Do szkół uczęszczał tu malarz i architekt Stanisław Noakowski. Urodził się tu i wychował Józef Chełmoński. W zajeździe, gdzie dziś mieści się restauracja, nocował s a m Napoleon — cesarz Francuzów. Na poczcie konie zmieniał.

Naprawdę jest się czym chwalić! To nie ironia, ale nim przejdziemy do spraw poważniejszych, oddajmy sprawiedliwość tym, którzy długo szukali ciekawostek, aby uraczyć nimi dziennikarskie uszy. Ustalili więc, że w Łowiczu odbyły się pierwsze wyścigi, w których uczestniczyły chłopskie konie. Tutaj odbył się też pierwszy pokaz orki nowoczesnymi na ówczesne czasy pługami. Po raz pierwszy w czasach pierwszej wojny światowej Niemcy użyli na froncie niemiecko-rosyjskim gazów trujących i fakt ten upamiętnia do dziś wspólny cmentarz żołnierzy rosyjskich i niemieckich. Dla tych ostatnich wiatr okazał się niełaskawy i potruł ich razem z atakowanymi gazem Rosjanami.

W Łowiczu było kiedyś 17 kościołów i do dziś leży tu 12 prymasów Polski, a wśród zabytków architektury jest baszta i pałacyk adiutanta Napoleona — gen. Klickiego i kościół kolegiacki, którego budowę rozpoczęto w 1464 a ukończono w 1624 roku. Można byłoby jeszcze wyliczyć sporo ale odnotujmy tylko fakt pierwszeństwa z czasów najnowszych — Kampina, łowicka wieś, była pierwszą polską wsią, od której w 1938 roku rozpoczęła się elektryfikacja. Dziś w Łowickiem jest na 19.728 indywidualnych gospodarstw 16 tys. już zelektryfikowanych. I tak dotarliśmy szczęśliwie do dnia dzisiejszego.

3.

Zasiedliśmy za stołami, ustawionymi w czworobok, popijaliśmy „Staropolankę", na coś mocniejszego czas nadszedł później i słuchaliśmy o Dniach Łowicza i Ziemi Łowickiej. Stara to impreza. Ma już swoją tradycję. Zaczęło się w 1936 roku, mijało właśnie 800 lat miasta i dla upamiętnienia tego wydarzenia postanowiono organizować Dni Łowicza.

Dziś namnożyło się tych „dni", a jak wiadomo ilość nie zawsze przechodzi w jakość, czasem ją obniża i m. in. dlatego władze miasta i powiatu podjęły „męską decyzję".

— Nie będziemy organizować Dni Łowicza co roku — powiedziano sobie, a po dyskusji zgromadzonym dziennikarzom. — Nie będziemy dlatego, że nie chodzi nam o świętowanie, a o budzenie społecznej inicjatywy, mobilizowanie społeczeństwa do rozwijania troski o wieś, gromadę, miasto, o możliwość podejmowania spraw naprawdę ważnych, ale których realizacja wymaga nieraz czasu i sporych nakładów społecznej pracy. Będziemy więc organizowali Dni Łowicza i Ziemi Łowickiej raz na pięć lat. W ostatnim roku każdej pięciolatki, aby móc ocenić, co zrobiliśmy i co chcemy zrobić w następnym pięcioleciu.

4.

Łowickie znane jest z pięknego folkloru. Znane autentycznie, a nie tylko ze sklepów „Cepelii" w kraju i daleko poza jego granicami. Specjaliści wysoko oceniają łowickie stroje — dziś już w całości używane tylko przez zespoły taneczne — wycinanki, skansen, pająki, wydmuszki i łowickie gadki. Ma ono swoją gwarę, inaczej tu się tańczy oberka, dostojnie, tak że tancerzom można na głowie spokojnie postawić szklankę z wodą — nie rozleją i szklanka nie spadnie. Znane są łowickie obyczaje. Jeszcze dziś łowiczanie przyjeżdżają z miasta na wieś, aby w wybitej pasiakami stodole urządzać wesela na więcej niż sto osób. Łowicka kapela, przygrywająca do tańca, powinna składać się z klarnetu, skrzypiec i bębenka. Współczesność wdziera się jednak w ramy ustalone tradycją i obyczajem. Prawo obywatelstwa w łowickiej kapeli zdobyła sobie harmonia, a wycinankarki ze Złakowa Kościelnego, Borowego, Strugienic, Wierznowic czy Rogóźna zręcznie wplatają w tradycyjny ornament sylwety nowoczesnych maszyn rolniczych, z traktorem na czele.

Stała troska państwa o utrzymanie i dalszy rozwój folkloru nie pozwoli mu zginąć, ale Łowickie jest też doskonałym przykładem zmian przychodzących wraz z przemysłem. Mało tu jeszcze tego przemysłu. Przed laty powstały Zakłady Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego i właśnie one wpłynęły na ukształtowanie się specjalizacji roślinnej. W okolicach Soboty hoduje się ogórki, Chruślina — cebulę, Zdun — pomidory, a w okolicy Bielaw — miętę. Łowickie barany i owce dają najlepszą w kraju wełnę, którą przerabiają zakłady przemysłu wełnianego w Bielsku-Białej. Łowickie konie chętnie kupują Włosi. Tylko w jednym roku chłopi z Łowickiego zarobili na hodowli koni 25 mln zł. Związek tych dwu ostatnich specjalizacji tylko pozornie nie ma związku z istnieniem ZPO-W. Nie jest to związek bezpośredni, ale wynik dostrzeganych korzyści, jakie przynosi specjalizacja.

Od niedawna działają tu Zakłady Przemysłu Pończoszniczego „Syntex". W Głownie powstały Zakłady Remontu Obrabiarek „Remo". W niedługim czasie ruszy Zakład Mleczarski o mocy 120 tys. litrów mleka na dobę, który będzie specjalizować się w produkcji serów.

Dziś trudno jeszcze powiedzieć o skutkach przemysłowego rozwoju miasta. Jego organizm otrzymał zastrzyk nowych sił i trzeba będzie poczekać, aby móc ocenić wyniki terapii. Na razie tylko wiadomo, że przybyły Łowiczowi kolejne szkoły — Zasadnicza Szkoła Włókiennicza i Państwowa Szkoła Techniczna, która przygotowywać będzie kadrę dla „Syntexu".

Fot. A. Wach

5.

Łowicz leży niedaleko Warszawy. Fakt powszechnie znany, a mający znaczenie dla gospodarki miasta i powiatu. W latach okupacji schroniło się tutaj wielu naukowców, nauczycieli, lekarzy, pisarzy i prawników. Dzięki temu kwitło tajne nauczanie. Po wojnie łowiczanie dobrze przygotowani do dalszej nauki tłumnie oblegali średnie i wyższe szkoły. Dziś powód do dumy. Są dzięki temu łowiczanie w ministerstwach, zjednoczeniach, innych wyższych urzędach Rzeczypospolitej.

Jest i powód do zastanowienia. Na wsi są gospodarstwa, gdzie starzy rodzice nie mają następców. Proces to naturalny, ale spędzający też sen z powiek gospodarzy powiatu. Trzeba starym rolnikom zapewniać opiekę, pomoc, starać się o przejęcie gospodarstw, ich łączenie. Sprawy ludzi są zawsze trudne i skomplikowane.

Łowicz leży niedaleko Łodzi. Do Łodzi jedzie się przez Głowno, a to małe miasto może pochwalić się ogromnym społecznym przedsięwzięciem. Dzięki inicjatywie i pracy tego trzynastotysięcznego ośrodka powstanie w niedługim już czasie zalew o lustrze wody wynoszącym 40 ha. Rzecz niebagatelna, szczególnie dla łodzian, którzy zawsze w upalne dnie tęsknią za ożywczym wiaterkiem znad czystej wody. Przyjdzie na niego jednak poczekać jeszcze 2 lata. Najpierw trzeba wybudować oczyszczalnie wody, aby wiaterek mógł być czysty i ożywczy. Potem trzeba będzie zbudować zbiornik nr 4. I tu trudność zasadnicza. Zalew zaczęto budować jeszcze w 1964 roku. Swego czasu nawet zalano go wodą, ale ze względu na jej zanieczyszczenie, trzeba było zbiorniki osuszyć. Na „czwórce" wykryto ostatnio torfiaste podłoże. Powstała obawa, że maszyny, które swego czasu miastu przekazano, nie będą już w stanie podołać nowemu zadaniu. Innych nie ma.

Do Łodzi z Głowna bliżej niż z Łowicza i może dlatego spojrzenia idą w tym kierunku. Przecież miasto — duże i przemysłowe — jest zainteresowane w budowie ośrodka sportów wodnych i wypoczynku. Położenie zalewu przy drodze wiodącej z Łodzi do Warszawy też ma swoje znaczenie. Ma tu powstać motel, restauracja, kawiarnia i bar oraz przystań. Na pewno przyciągnie to łodzian i zmotoryzowanych turystów, ale jak do tej pory nikt nie śpieszy Głownu z pomocą.

— Dlaczego? — pytają w Głownie. — Przecież budujemy zalew nie tylko dla siebie. Czyż granica administracyjna może być też granicą społecznych inicjatyw?

Nie umiem odpowiedzieć. Bo moim zdaniem — nie powinna! Chyba się nie mylę.

ADAM OCHOCKI

DRUGIE śniadanie

Siedzieliśmy przy swych biurkach, a ponieważ była to pora normalnego urzędowania, mieliśmy kupę wolnego czasu. Z ożywieniem rozprawialiśmy o historycznej wyprawie selenonautów na Księżyc. Referował Kazik, który, rozpalając się coraz bardziej, wstał, żeby nam zademonstrować jak się odbywa schodzenie po drabince z kabiny „Apolla" na powierzchnię Srebrnego Globu. Ale ledwo rozkrzyżował ręce i podniósł nogę — twarz wykrzywił mu grymas bólu i z piersi wyrwał mu się głuchy jęk:

— Heksenszus... Kurcze blade. Znowu mnie złapało...

— Mówiłem ci już sto razy, żebyś poszedł do lekarza — zgromiłem go z wysokości swego fotela. — Zobaczysz, kiedyś tak cię pokręci, że trumnę w kształcie rogala trzeba ci będzie zbić.

— Gu...guzik mi lekarz pomoże... — powiedział ni to do nas, ni to do swego kolana, nad którym zwisała mu głowa

— A ja na twoim miejscu szarpnąłbym się na tego znachora w Zgierzu — doradził Roman. — Drogi, bo drogi, ale facet bomba!

— Z księżyca spadłeś? — natarłem na niego. — Do szarlatana go posyłasz?

— Kto wierzy w gusła, temu uschła, sam wiesz co — poparł mnie jak zwykle Zyga.

— Mówcie sobie co chcecie, a ten znachor to cudotwórca. Gruźlica nie gruźlica, nery nie nery, on potrafi nawet do miłości zmusić.

To już było coś. Wszyscy zawiśli oczyma na twarzy Romka. Tylko ja jeden demonstracyjnie odwróciłem głowę i rozłożyłem przed sobą jakieś papiery, a Romek mówił dalej:

— Nasza sąsiadka zauważyła, że od pewnego czasu mąż ją zaniedbuje. Wiecie jak to jest. Nie zadzwoni do niej z biura, w domu odzywa się półgębkiem, kino, kawiarnia, spacer — nic z tych rzeczy. A wieczorem po kolacji kładzie się spać i śpi. No to babka chodu do tego znachora w Zgierzu, mówi mu dokładnie co i jak, a ten jej dał jakiś specyfik, korzeń nie korzeń, i powiada, że jak mąż tego zażyje, zapali się do niej jak osiemnastolatek...

— Lubczyk — wydął sceptycznie wargi Zyga. — Już moja prababka też próbowała, ale gdyby nie jej morgi, dziadek nawet by na nią nie spojrzał.

— Jo...johimbina... — jęknął Kazik i otworzył szeroko usta — nie wiadomo czy z wrażenia, czy też znowu go łupnęło w mięśniach.

— Ani johimbina, ani żaden lubczyk. Jakiś zagraniczny środek, nawet na bony PKO nie można go dostać.

Machnąłem lekceważąco ręką i zagłębiłem się w swoich papierach.

— ...Dał jej ten korzeń i powiada, żeby utarła go na proszek przy nowiu księżyca i dodawała mężowi do jedzenia. Babka pokaleczyła sobie palce na tarce i odtąd co rano, gdy mąż wychodził do pracy, smarowała mu bułki masłem, do którego dodawała tego miłosnego proszku, on zabierał drugie śniadanie do biura i zjadał je.

— I co? — uśmiechnąłem się drwiąco. — Z dziobków zaczęli sobie wyjadać, a po roku urodziły się im bliźnięta?

— Nie bądź wulgarny. Bliźnięta nie urodziły się, wręcz przeciwnie — po trzech tygodniach mąż zmył się z domu i zadekował na mieście. Zostawił kartkę, że kwit z pralni jest w wazoniku na telewizorze, że odchodzi na zawsze, żeby go nie szukała, że alimenty na dzieciaka będzie płacić regularnie i cześć pieśni!

Czuliśmy jakiś podstęp, żaden z nas nie chciał zaryzykować pytaniem, żeby się nie ośmieszyć. Tylko Kazik, którego nowy atak heksenszusu skręcił jak grajcarek, nie wytrzymał nerwowo:

— No i co?... Kiszka z wodą... Niezawodny środek znachora nawalił, a ty mnie jeszcze do niego posyłasz?

— Wcale nie nawalił, zadziałał, można powiedzieć piorunująco. Bo, widzicie, on się wyprowadził do swojej biurowej koleżanki, z którą dzielił się przynoszonym z domu śniadaniem...

Weszła woźna z tacą, na której stały szklanki ze zbożową kawą. Wsypałem cukier i począłem go mieszać jak zwykle — powoli, głośno uderzając łyżeczką o brzegi szklanki. Uchyliły się drzwi z sąsiedniego pokoju i w szparze ukazała się blond główka maszynistki.

— Panie kierowniku — zwróciła się do mnie. — Można poczęstować pana bułką? Proszę bardzo, chrupiąca, ze świeżym masełkiem i pachnącą szyneczką... Mąż sam codziennie przygotowuje mi do biura drugie śniadanie...

* Z tomiku opowiadań i wierszy satyrycznych „Skąd my się znamy?", który ukaże się niebawem nakładem Wydawnictwa Łódzkiego w opracowaniu graficznym Karola Baranieckiego.

TERESA WOJCIECHOWSKA

„Orfeusz" w Teatrze Wielkim

Z wyjątkiem konkurencyjnie zainteresowanych, niewiele już osób oburza się na wystawianie operetek w teatrze operowym. Po mieście rozeszła się bowiem szeroko wieść, że zwyczaj nie jest nowy i że od dziesiątek lat największe sceny operowe świata wystawiały ambitne muzycznie, wymagające bogatej oprawy operetki, zbliżone charakterem do opery buffo. Więc nie potrzeba już usprawiedliwiać kierownictwa artystycznego Teatru Wielkiego w Łodzi, że po raz drugi występuje z taką właśnie pozycją. „Orfeusz w piekle"* Jakuba Offenbacha, od prapremiery w 1858 roku, niejedną scenę operową oglądał. Muzyka pozostała ta sama, ząb czasu się jej nie ima. Gorzej z librettem, wymagało aktualizacji.

Adaptacji dokonali Stanisław Dygat i Janusz Minkiewicz — nazwiska budzące zaufanie. Należało przypuszczać, że pióra, należące do literatów tej miary co Dygat i Minkiewicz, zabłysną pięknym językiem, dowcipem, satyrycznym podejściem do żartobliwego tematu. Dla dalszych wywodów na temat: co z tego wyszło, pozwolę sobie zacytować fragment wypowiedzi Stanisława Dygata, którą zamieścił w programie do przedstawienia:

...„Libretta Halevy'ego i Meilha'ca były prawdopodobnie pełne piekielnie dowcipnych i złośliwych aluzji do współczesności i współczesnych. Mówię: prawdopodobnie, ponieważ aluzyjność ma tę wadę, że bardzo szybko się dezaktualizuje i w miejscu, gdzie kiedyś był wywołujący bomby śmiechu zjadliwy i niszczycielski dowcip pozostawia wyblakłe i jałowe miejsce. I na tym polega trudność adaptacji tych librett, adaptacji, które na ogół polegają na usiłowaniu aktualizacji tekstu. No cóż! W naszej burzliwej, zmiennej i dynamicznej epoce taka aktualność może przetrwać tylko miesiąc. Albo tydzień, albo parę dni. Proszę nie brać tego za usprawiedliwienie. Przeciwnie.

Wspomniałem na początku, że w sprawę „Orfeusza w piekle" zostałem zamieszany przypadkowo. Byłem w Zakopanem, spotkałem Janusza Minkiewicza, lato było deszczowe. Nudziliśmy się, a w pensjonacie „Halama" znaleźliśmy stare, francuskie libretto „Orfeusza". Wtedy Minkiewiczowi przyszło do głowy, że byłoby niezłą rozrywką spróbować przetłumaczyć to i zaadaptować. Szybko doszliśmy też do wniosku, że najlepiej będzie starać się unikać tej aktualizacji noszącej w swym zarodku dezaktualizację. Rzecz nie była łatwa ponieważ cały schemat libretta jest właściwie nastawiony na aktualizowanie. Jak nam się to udało? Nie naszą jest rzeczą sądzić. Jeżeli jednak gdzieś zawiedliśmy, proszę liczyć na Offenbacha. Dopowie muzyką wszystko co jest aktualne. Jego dowcip nie zawiedzie i nie zdezaktualizuje się nigdy."

Po przeczytaniu niniejszego i **wysłuchaniu** „Orfeusza" nasunęło mi się kilka wniosków natury ogólnej, a z tych dwa najważniejsze:

1. Nie należy tworzyć dla rozrywki, w czasie urlopu i w czasie deszczu. Należy tworzyć w ciężkim trudzie i znoju, najlepiej dla pieniędzy, przeklinając cały świat i swoją dolę. Tak powstało wiele wielkich dzieł sztuki.

2. Nie należy spychać na nieobecnego współpracownika (zwłaszcza już nieżyjącego) najtrudniejszych obowiązków, a szczególnie aktualizowania dzieła. To zawodne i w ogóle nie fair.

A już na serio — spółka autorska Dygat — Minkiewicz sprawiła zawód. Libretto nie jest dowcipne, grzeszy ubogim, prymitywnym językiem. Wykrzykniki: rany Julek! rany boskie! psia kość! i tp. używane są co rusz dla wyrażenia bogatej gamy uczuć bohaterów. Zwroty w stylu: „Precz z nektarem, my chcemy wódy" (tęskne zawołanie bogów z Olimpu), dowcipy w stylu: „Znaliście Krupę Jowisz?" albo „Już tylko itd, a właściwie tylko de" (samokrytyczne wyznanie Jowisza o swojej pozycji w niebie), nazywanie żony megierą i pluskwą (też Jowisz) cytuję jako próbki literackiego stylu i humoru perlącego się na tle dość monotonnej całości. Miejsce po tak skrzętnie unikanej aktualizacji tekstu francuskiego, autorzy adaptacji wypełnili nieprzemijająco aktualnymi złotymi myślami na temat władzy, biurokracji, miłości, małżeństwa. Na przykład: „Mówienie bez sensu jest jedynym sposobem porozumienia się z żoną". Aby nie nużyć czytelnika skończę na tym cytowanie. Wydaje mi się, że nie należało tak bardzo obawiać się aktualizacji. W końcu, libretta adaptowane przez Tuwima, do dziś nie rażą, a tu i ówdzie z przyjemnością można posłuchać ładnej polszczyzny i niezłych dowcipów.

Tego tekstu nie mógł uratować Offenbach, mogłaby go uratować jedynie zła dykcja wykonawców, ale oni, jak na złość, mają dykcję dobrą. Natomiast Offenbach mógł uratować i uratował przedstawienie. Oczywiście przy pomocy realizatorów i aktorów. Przy pomocy takich atutów jak muzyka, śpiew, taniec, inscenizacja, dekoracje. I to się na szczęście udało.

Przede wszystkim na podkreślenie zasługuje staranne przygotowanie muzyczne, spoczywające w rękach artysty tej miary co Witold Krzemieński. Piękna muzyka offenbachowska podana została w czystym, kulturalnym, szlachetnie brzmiącym kształcie. Piękne, pełne brzmienie uzyskały chóry. Sądzę, że nie napotkali na trudności wokalne soliści, przywykli do zadań znacznie trudniejszych, zapewne większy problem stanowiło dla nich aktorstwo, mające inny wymiar i inny styl tu niż w przedstawieniu operowym. Myślę, że część zasługi za osiągnięte efekty należy się doświadczonemu w tym gatunku scenicznym reżyserowi — Danucie Baduszkowej. Dała ona widowisko barwne, żywe, przygotowane z dużym rozmachem, jak na tradycje Teatru Wielkiego przystało.

W roli Eurydyki oglądaliśmy Delfinę Ambroziak i Izabelę Nawe, obydwie interesujące głosowo, aktorsko odmienne, co jest wynikiem zapewne odmiennych temperamentów. Delfina Ambroziak jako Eurydyka miała więcej ciepła i kobiecości, Izabela Nawe stworzyła postać nieco pokrewną Katarzynie z „Poskromienia złośnicy", żywszą i energiczniejszą.

Tadeusz Kopacki był Orfeuszem bardzo sympatycznym o dobrze odmierzonym, nie przerysowanym komizmie. Nie udało się to Adamowi Dulińskiemu, który popadł w manierę operetkową, nie znajdując żadnej koncepcji dla swojej roli. Rolę Plutona wykonali Romuald Spychalski i Stanisław Heimberger. Trzeba powiedzieć, że Spychalski był w tym przedstawieniu bezkonkurencyjny. Znakomity głosowo i aktorsko, połączył śpiew i grę sceniczną z pięknym, harmonijnym utanecznionym ruchem i gestem, stopionym z muzyką. Pełną i aktorsko precyzyjną, zabawna postać Jowisza-safanduły stworzył Antoni Majak, nieco innym, mniej może charakterystycznym, ale również bardzo dobrym Jowiszem był Stanisław Michoński. Opinię Publiczną kreowali w miarę żartem w miarę serio Eugeniusz Nizioł i Zbigniew Jankowski, w pozostałych rolach na obydwu premierach oglądaliśmy: Teresę May Czyżowską, Izabelę Sikorską, Aline Połońską, Izabelę Kobus, Weronikę Kuzmińską, Irenę Jurkiewicz, Ewelinę Kwaśniewską, Jadwigę Stocką, Izabelę Strzałkowską, Zbigniewa Studlera, Eugeniusza Szynkarskiego, Igora Mikulina, Tadeusza Gawrońskiego, Jerzego Sobczyńskiego, Mariusza Zaremskiego i in.

Barwna, jasna scenografia, której autorem jest Roman Bubiec, żartobliwie nawiązująca do antyku, stanowiła pogodne tło dla ziemsko-olimpijskich igraszek bogów z ludźmi. Ładne i efektowne kostiumy, najmniej fortunne okazały się dla bogiń. Negliżując je, scenograf zapomniał, że boginie przybiorą ziemskie kształty.

Efektowne, pełne temperamentu układy taneczne Witolda Borkowskiego — Taniec diablic i diabłów, Bachanalia i zawsze niezawodny Kankan — dodały przedstawieniu blasku i pikanterii.

„Orfeusz" będzie się na pewno cieszył zasłużonym powodzeniem. Tak wystawić nie mógłby go żaden inny teatr choćby ze względu na możliwości techniczne sceny, wykorzystane tu bardzo pomysłowo i efektownie. To korzyść dla teatromanów i melomanów. Ale jest też korzyść dla zespołu, dla solistów, którzy na tym gatunku wzbogacają doświadczenia sceniczne, rozwijają aktorstwo.

*) „Orfeusz w piekle", Muzyka: Jakub Offenbach; adaptacja libretta według H. Cremieux i L. Halevy: St. Dygat i J. Minkiewicz; kierownictwo muzyczne: Witold Krzemieński; Inscenizacja i reżyseria: Danuta Baduszkowa; scenografia: Roman Bubiec; choreografia: Witold Borkowski; Premiera: 21 maja 1970 r. Teatr Wielki w Łodzi.

POLONICA

„DIE KUNST" O POLSKIEJ GRAFICE

Monachijski miesięcznik „Die Kunst und das schone Heim" poświęcony sztuce i urządzaniu wnętrz, omawia w numerze 4 z bieżącego roku współczesną grafikę polską. Artykuł zamieszczony jest w dziale „Mistrzowie grafiki" i zatytułowany „Die modernen Polen". Autor artykułu Stanisław K. Stopczyk zaczyna omówienie od stwierdzenia, że w okresie po drugiej wojnie światowej zaznaczył się szczególnie dynamiczny rozwój polskiej sztuki graficznej. Dynamikę tę cechuje zarówno bogactwo idei i form twórczych jak i różnorodność poszukiwań czysto wrasztatowych. Autor przypomina zasługi jakie położyli w latach trzydziestych dla powstania polskiej szkoły graficznej dwaj wybitni artyści, malarze-graficy — Leon Wyczółkowski (litografia) i Józef Pankiewicz (rytownictwo). Następnie Stopczyk przechodzi do bliższego omówienia współczesnej grafiki polskiej zajmując się szczegółowiej twórczością takich artystów jak: Ewa Śliwińska, Barbara Narębska-Dębska, Stefan Suberlak, Mieczysław Wejman, Andrzej Pietsch, Leszek Rózga, Andrzej Nowacki, Marta Kremer, Janusz Karwacki, Jacek Gaj, Tadeusz Jackowski, Marian Malina, Halina Chrostowska, Lucjan Mianowski, Józef Gielniak.

Artykuł ilustrowany jest ośmioma, znakomicie pod względem technicznym reprodukowanymi, dziełami polskiej grafiki. Ilustracje są kolorowe i czarno-białe.

(jsk)

NASZ SZWAJCARSKI PRZYJACIEL

Zmarł jeden z najgłośniejszych i najwybitniejszych publicystów szwajcarskich, redaktor „Journal de Geneve", Rene Payot. Podczas ostatniej wojny zorganizował systematyczne emisje radiowe, przeznaczone specjalnie dla okupowanej Francji i przekazujące prawdziwy obraz sytuacji. Miało to ogromne znaczenie dla francuskiego Ruchu Oporu. Cała Francja słuchała głosu, a po wyzwoleniu tysiące listów napływały do Payota, dziesiątki miast i wsi francuskich ofiarowało mu tytuły honorowego obywatela. Ze czcią i wzruszeniem pisze o tym w „Le Monde" z 17—18. V. Rene Dabernat. Wspomina on też, że w 1919 roku, gdy 25-letni Rene Payot znalazł się w Monachium, poeta niemiecki Kurt Eisner zorganizował w tym mieście rząd lewicowo-socjalistyczny. W rządzie tym zaproponował Paytowi stanowisko ministra spraw zagranicznych.

Payot był gorącym przyjacielem Polski. Przy jego poparciu Walter Weideli, szwajcarski krytyk i dramatopisarz zamieszczał w literackim dodatku „Journal de Geneve" tłumaczenia utworów licznych polskich pisarzy m. in. Dąbrowskiej, Szaniawskiego, Putramenta, Iwaszkiewicza, Brandysa. W 1960 roku doszło do zamieszczenia w tym piśmie całego dodatku, poświęconego polskiej kulturze. Payot napisał wtedy artykuł, w którym wspomniał niezapomniane kontakty, które kiedyś nawiązał z Sienkiewiczem, Dłuskim i Paderewskim.

W. N.

POLONICA

Powrót

Dalszy ciąg ze str. 6

Wiciu, bez subiekcji, zatęskni, zapłacze i wróci.

— Pani Perwenisowa.

— Aj, Helunia, sierotko ty moja biedna. Popatrz, jak on się cieszy, twój dziadek, pan Wiciu, ty widzisz? I pani Pola się cieszy, ja im mówiwszy: nie wolno tracić nadziei, Hela wróci, tak zawsze każdy ptak do swego gniazda wraca, no nie, Hela? Wraca?

— Tak, pani Perwenisowa. Wraca.

— Tak ja ciebie zobaczywszy jeszcze wcześniej, jeszcze w mieście, i biegłam, i wołałam za tobą, Hela, Helusia, aż mi i tchu brakło i kolka w boku sparła, ale ty jak głucha czy co, nie słyszała mnie, a tutaj, tutaj ja poczekałam, aż się z nimi wszystkimi po kolei powitasz.

— To pani... pamiętała o dziadku?

— Jakże bym mogła zapomnieć, Helusia? a? co tobie do głowy przychodzi, jakże to — zapomnieć? Nie godzi się, nie wolno — pana Wicia zapomnieć? a — tobie, Helusia, pewno się w głowie pokiełbasiło, że ty takie rzeczy pleciesz. Takich ludzi jak pan Wiciu i pani Pola nie zapomina się, nie. Chyba, że jaki szubrawiec, ale my tu wszyscy swoi. Ot, i co roku krzyż nowy postawim, pan Wituś przecież chciał mieć krzyż z brzozy, to i ma, co roku świeży, i kwiatki mu sadzimy, i porozmawiać przychodzim, posiedzieć sobie razem, tak jakże to — zapomnieć? Helusia, gdzie ty się tego słowa nauczyła, a?

— Myślałam...

Twarz Perwenisowej spochmurniała, zgubiła na moment serdeczny uśmiech.

— To i ty źle myślała, Hela, szkaradnie, hadko. Nie trzeba tak o ludziach myśleć, nie godzi. Ja każde słowo pana Wicia pamiętam, żadnego nie zgubiłam, bo jego słowa mi były i pociechą i nadzieją na życie, i otuchą, Helusia, to ja je wszystkie pamiętam. Ty pewno nie do tych drzwi pukałaś, co trzeba, ta i ci nie otworzyli. Gdzie progi wysokie, tam zawsze drzwi zamknięte i serca — tak pan Wiciu powiedział kiedyś do mnie, ja dobrze pamiętam, i teraz ci powtarzam. To i twoja pomyłka, Hela, źle szukałaś, trzeba było do mnie od razu przychodzić w gościnę, tak ja by ciebie powitała, konfitur by dała świeżych, a pyszne jakie, powiadam, pościel najlepszą z kufra wyjęła, zaprosiła. Ja zawsze ta sama, Perwenisowa, ale ty pewno ani razu nie pomyślawszy o starej Perwenisowej? a? Hela?

— Pani Perwenisowa...

— Ta chodźmy już, Hela. Teraz będziesz mogła i co dzień do nich przychodzić — do pana Wicia i pani Poli, co dzień ich odwiedzać, bo ty z nami zostaniesz, a? Hela? Mam ja wszystkie książki pana Wicia, trochę szeczku je myszy pogryzły, ale nie u mnie, tylko u tamtych, co się powprowadzali. Kłóciła się ja o te książki, i o komodę, bo oni je spalić chcieli. Kłóciła się, ale wykłóciła, wszystkie są, a dużo tego, że i nie zliczę, pan Wiciu był mądry, tyle książek przeczytał, no, no, mnie tam od czytania oczy bolą, ale ja zawsze chciała, żeby moje dzieci były mądre — i one są mądre, Hela, ja teraz w Ornecie ważna, patrzajcie państwo, Perwenisowa — ważna persona, a jakże, pamiętasz ty, Hela, Mańkę? Ona jest nauczycielką tu u nas,w Ornecie, a Franka ty pamiętasz? a? on w Olsztynie dyrektor wielki, cały szpital prowadzi, ot i Perwenisowa ważna się zrobiła, ale Perwenisowej jej ważność niepotrzebna, o, i subiekcja z tej ważności, tak ty Hela i nie pomyślała, że Perwenisowa, ta analfabetka i prosta chamka taka teraz ważna, a pan Wiciu, on by się cieszył, on mnie zawsze szanował, on mi mówił: Pani Perwenisowa, pani jest najdzielniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem, ot i wykształciwszy wszystkie swoje dziewięcioro dzieci, a Stasiuk to pojechał daleko, budować maszyny, ale ty nie bojsia, nie bojsia, oni tu wszyscy przyjeżdżają do mnie, i trzech stołów wtedy mało, bo i synowe mam, i wnuki, i wnuczki. No, poszli my już, Hela, pożegnaj się z panem Wiciem, jutro znów do niego przyjdziemy.

— A dokąd ja mam iść, pani Perwenisowa?

— Dokąd? Taż do mnie! Czego ty, Helka, się pytasz, ta czego?

— Pani Perwenisowa, ja nie mogę, nie mam nic, tylko trochę pieniędzy, i brat chory czeka na mnie w hotelu i matka.

— Ty mnie obrazić chcesz, Hela? — zapytała z wyrzutem Perwenisowa. — No, chodź, chodź, z tobą teraz trzeba jak z dzieckiem małym — ciebie trzeba wszystkiego uczyć na nowo.

— Pani Perwenisowa...

— Ta co ty z tą panią Perwenisową! Uczepiła się jak rzep psiego ogona — Perwenisowa i Perwenisowa i nic innego do człowieka gadać nie potrafi! Chodźże, mówię ci. Mój dom duży, pomieścisz się i ty, i brat, i ta twoja matka. Jakże ja by mogła w oczy panu Wiciowi popatrzeć, jakże ja by się do niego przyjść odważyła, co bym ja mu powiedziała, jeśli by ja ciebie miała tak zostawić? Chodźże, no, prędzej, Hela. Kasza hryczana na plicie, przypali się, pewno już się przypaliwszy, ot i subiekcja.

A kiedy przechodziłam z panią Perwenisową przez rynek, obok ratusza, nad jego strzelistą wieżą zlatywały do gniazda bociany.

EWA OSTROWSKA

(Aktualia z przeszłości)

U progu nowego sezonu

STANISŁAW POWOŁOCKI

Parę lat przed wojną, a dokładnie wiosną 1937 roku, przeprowadziłem wywiad ze Stefanem Jaraczem. Został zamieszczony na łamach jednego z pism wileńskich („Kurier Powszechny"), w którym wówczas pracowałem w charakterze krytyka teatralnego. Wywiad był bardzo obszerny. Na wyraźne życzenie samego Jaracza, zatytułowano go dość pompatycznie: „Credo Stefana Jaracza". W ramach tego wywiadu Jaracz określił nie tylko swój stosunek do sztuki scenicznej oraz aktualnych wówczas zagadnień teatralnych, lecz również obszernie mówił o repertuarze, zadaniach reżysera i aktora w teatrze. Między innymi, odpowiadając na pytanie, jaki powinien być, jego zdaniem, teatr, aby można go było uważać za prawdziwy i dobry, Jaracz powiedział:

„Teatr, jako jednostka twórcza, podobnie do aktora, powinien przede wszystkim posiadać własne indywidualne, niepodobne do innych, oblicze artystyczne. Może być gorszy lub lepszy, podobać się, czy nie podobać, ale musi posiadać indywidualne oblicze twórcze, różniące go od innych teatrów. Własne i samodzielne. Musi o tym wiedzieć publiczność, która chodzi do tego lub innego teatru, pragnąc zobaczyć określone w swej treści oraz formie przedstawienie. Uważam, że to jest jedno z podstawowych i głównych zadań każdego teatru, bez względu na jego umiejscowienie na naszej mapie teatralnej. Afisz teatralny to jest nie tylko informacja o tym, co, gdzie i kiedy można zobaczyć na scenie teatru. To jest jednocześnie twórczy bilet wizytowy, określający do pewnego stopnia artystyczne oblicze danego teatru. Teatry, nie posiadające takiego oblicza, są zazwyczaj nudne. Nawet dla samych aktorów. Są to raczej gmachy, w których się odbywają mało czym się różniące między sobą, lepsze lub gorsze spektakle".

Ta, niewątpliwie interesująca wypowiedź Jaracza, poniekąd zbiega się z tym, co usłyszałem już w kilka lat po wojnie tu, w Łodzi, od Karola Adwentowicza. W czasie jednego z licznych naszych spotkań w latach 1947 — 48 w popularnej wówczas w sferach artystycznych kawiarni „Mocca", gdy, jak zwykle, rozmawialiśmy z nim na różne tematy, związane z bieżącym życiem teatru, Adwentowicz powiedział, między innymi, co następuje: „Najgorszy wróg teatru — to nuda! A właśnie nuda zagraża teatrowi, gdy traci swoją „twarz". Jest ona bardzo ważna w teatrze. Od niej zależy nie tylko tzw. „powodzenie", ale również pozycja i ranga artystyczna danego teatru. „Twarz" różni go od innych teatrów. Wzbudza zainteresowanie, tworzy, wreszcie, „kontyngent" stałych bywalców. A to przecie oni właśnie wytwarzają ten „klimat", bez którego każdy teatr jest pozbawiony „korzeni" i „wisi w powietrzu".

W swoich papierach przechowuję dotychczas własnoręcznie pisany przez Karola Adwentowicza bardzo interesujący artykuł pod tytułem „Młodzież i teatr". Artykuł ten Adwentowicz napisał na prośbę pewnej redakcji, z którą wówczas współpracowałem. Jednak nie został wykorzystany. Zdaniem redakcji, był utrzymany w „zbyt ostrym tonie". Gdy, z pewnym zażenowaniem, powiedziałem o tym Adwentowiczowi, roześmiał się i... zostawił mi swój rękopis na pamiątkę, „na wszelki wypadek", — jak się wówczas sam wyraził. Właśnie w tym artykule rozwija również swoją myśl o tym, jak ważne jest pojęcie „twarzy" w teatrze. Zwłaszcza, jak podkreśla Adwentowicz, gdy chodzi „o młodzież, wciągnięcie jej w orbitę zainteresowań sztuką teatralną, o upowszechnienie teatru".

Jeden z najbardziej doświadczonych ludzi naszego teatru w okresie ostatnich kilkudziesięciu lat, Wilam Horzyca, poruszając w swoim czasie zagadnienie podstawowych, jego zdaniem, zadań teatru, tak, między innymi powiedział: „Zdrowy organizm teatralny, tak samo jak organizm ludzki, jest organizmem na wskroś indywidualnym. Posiada swoje plusy i minusy. Często nawet — więcej minusów. Ale na tym właśnie, na jego indywidualności twórczej, polega to, co nazywamy jego urokiem. A co najważniejsze — główny sens i racja samego jego istnienia. Indywidualność artystyczna — to rzecz trudna. Ale ambitna i konieczna. Chociażby ze względu na własne dobro teatru, dobro widzów, oraz pojęcie pewnej konkurencji, istniejącej, stale i nieuchronnie, między teatrami."

Na marginesie tych słów, warto też zacytować to, co nieraz mawiał twórca słynnego MCHAT-u, K. S. Stanisławski: „W historii światowego teatru najchlubniej zapisane są dzieje tych teatrów, które były w stanie wytworzyć i zachować swoje samodzielne oblicze artystyczne oraz ideowe."

Z pojęciem ideowego oraz artystycznego oblicza każdego teatru, również ściśle wiąże się pojęcie repertuaru, dobór wystawianych na scenie teatru sztuk. Jest to jedna z zasadniczych podstaw tego oblicza. Na tej właśnie bazie, do pewnego stopnia, kształtuje się istotna treść twórczo-ideowych intencji oraz „metodyki" scenicznej danego teatru. Dlatego też, chciałbym przypomnieć bardzo słuszne i niewątpliwie aktualne aż po dzień dzisiejszy te słowa A. W. Łunaczarskiego, które powiedział on w swoim czasie w ramach pewnej narady w Moskwie. Skierował te słowa przede wszystkim do kierowników i dyrektorów licznych teatrów moskiewskich i prowincjonalnych.

„Ideowość repertuaru, jego poziom artystyczny i literacki, jest uzależniony przede wszystkim od tego, jakim jest i jakim być zamierza ideowe oraz artystyczne oblicze samego teatru. Należy stale pamiętać o tym, że ze względu na samą swoją istotę twórczą (forma i treść), teatr nie może nie wychowywać, nie może nie oddziaływać wychowawczo na widzów w tym lub innym kierunku. Układając repertuar, należy pamiętać także o tym, że tzw. popularnie dążenie do „nieuprawiania" polityki w teatrze (chodzi tu głównie o dobór sztuk) jest już, w samej rzeczy, polityką, i to w pełnym znaczeniu tego słowa. Polityką, bardzo ściśle określoną w swoich istotnych dążeniach i celach. Strach niektórych naszych działaczy teatralnych przed tzw. teatrem politycznym jest, w swej istocie, „strachem" na wskroś politycznym, jeżeli tak można się wyrazić. Jest jednym z wyrazów i kształtów tej zupełnie określonej polityki. I jeszcze jedno należy sobie uświadomić: od czasów klasyków greckich i rzymskich, od czasów Szekspira, Moliera, Schillera, Gogola, Ostrowskiego i innych teatr zawsze był i jest teatrem politycznym. Bo każdy prawdziwy konflikt, zaczerpnięty z życia i dziejów ludzkich, stanowiący treść większości utworów dramaturgicznych, jest w swej istocie konfliktem społecznym i politycznym".

TP OBIEKTYW

Gdy przed telewizorami przeżywamy emocje

Wyścig Pokoju raz do roku w swoisty sposób rytmizuje życie w naszym kraju. Przesadą byłoby zapewne stwierdzenie, że wszystkich emocjonuje w równym stopniu. Są nawet tacy (nieliczni), których ani to parzy ani ziębi. Ale nawet ci, chcąc nie chcąc, poddać się muszą ogólnym nastrojom.

Charakterystyczny, dobrze wszystkim znany hejnał Wyścigu rozbrzmiewa z tranzystorów już w godzinach południowych. Napięcie stopniowo wzrasta i osiąga swój szczyt w czasie popołudniowej transmisji radiowej i telewizyjnej z zakończenia kolejnego etapu. Potem następują długie rozmowy, komentowanie aktualnych szans drużyn i zawodników, wysłuchiwanie szczegółowych wyników i oglądanie raz jeszcze finału etapowego zarejestrowanego na taśmie filmowej. I tak przez dwa tygodnie.

Program telewizyjny jest również poddany temu rytmowi. Wszystkie inne pozycje stanowią w tym czasie jak gdyby obudowę podstawowego nurtu, na który składają się kolejne transmisje z Wyścigu. Występuje przy tym rzadkie zjawisko, że chyba wszyscy telewidzowie w kraju akceptują w tym czasie układ programu.

Gdy przed 23 laty rozpoczynała się historia Wyścigu Pokoju, telewizji jeszcze w Polsce nie było. Tylko radio dawało pewien smak walki na szosie. Nie doznając wrażeń wzrokowych, musieliśmy je zastępować własną wyobraźnią. Potem jednak w miarę rozwoju sieci telewizyjnej punkt ciężkości zaczął się przesuwać. Telewizja stała się tym środkiem przekazu, który dostarcza nam więcej wrażeń.

Ten rok był rokiem szczególnym. Takiego pasma sukcesów naszej drużyny jeszcze nie było. Zwycięstwa Szurkowskiego, Hanusika, Czechowskiego i innych Polaków, miliony ludzi w Polsce przeżywało jak swoje własne. W tym tkwił niepowtarzalny urok chwil spędzanych przy telewizorze. Towarzyszyliśmy zawodnikom w ich walce i razem z nimi odprężaliśmy się po jej zakończeniu, cieszyliśmy się ich radością.

Każdy etap wyścigu ma swoją własną, nie zaplanowaną dramaturgię. Ktoś triumfuje, ktoś przeżywa swój dramat, a wszystko w atmosferze sportowej dyscypliny, koleżeństwa i poszanowania przepisów. Nie sposób chyba przecenić wychowawczej roli transmisji z wyścigu. Do młodzieży dociera poprzez nie świadomość, że życie to stała rywalizacja i konfrontacja, ale która można przeprowadzać z zachowaniem szlachetnych i uczciwych zasad gry.

Wielką serię transmisji mamy za sobą. Możemy już tylko wspominać wzruszenia i emocje. Będą się one w naszej pamięci stopniowo wyciszać, blednąć. Możemy też na chłodno oceniać sposób przeprowadzania transmisji telewizyjnych, który z pewnością nie zawsze był w pełni zadowalający. Nie chodzi przy tym o szukanie w całym dziury, ale o to, by może w przyszłości niektórych błędów i niedociągnięć uniknąć.

Z pewną satysfakcją należy podkreślić, że w tym roku transmisje z polskich etapów przeprowadzane przez Telewizję Polską zdecydowanie górowały nad tym, co nam zaprezentowali Czesi i Niemcy. Można powiedzieć, że obok zwycięstwa drużynowego i indywidualnego Polski był to jeszcze jeden sukces naszych barw.

Zastosowanie helikoptera i kamery ruchomej, bezprzewodowej, umieszczonej na samochodzie, pozwoliło rozszerzyć sprawozdanie także i na walkę na szosie. Dziwić może fakt, że Czesi i Niemcy ograniczyli się niemal wyłącznie do relacjonowania samego finiszu, wystawiając co najwyżej kamery na parę kilometrów przed metą. Przecież dysponują chyba tymi samymi możliwościami technicznymi co i my. Miejmy nadzieję, że przykład naszej pracy sprawozdawczej swoje zrobi i że w roku przyszłym cały wyścig będzie transmitowany z użyciem nowoczesnego sprzętu.

Mieszane uczucia ogarniają człowieka, gdy wspomina pracę naszych sprawozdawców telewizyjnych. Podoba nam się ich stopień zaangażowania emocjonalnego, czasem jednak chciałoby się oczekiwać od nich bardziej sensownego przeprowadzania błyskawicznych wywiadów, większej dbałości o mowę polską, mniejszej ilości strzelanych gaf. Ale to są małe skazy na ogólnie pozytywnym obrazie w naszej pamięci.

Władysław Orowski

Spektakle tygodnia

TEATR WIELKI			
„Orfeusz w piekle"	2	2520	100
23.V. — 3.VI. — II Łódzkie Spotkania Baletowe			
NOWY			
„Zemsta"	2	1000	75
„Życie jest snem"	1	700	100
„Za siedmioma górami"	1	600	90
MAŁA SALA			
„Rodeo"	4	800	100
„Pelikan"	1	200	100
„Mąż i żona"	1	200	100
POWSZECHNY			
„Ojcowie rodzą się w szafach"	1	500	85
„Henryk V"	1	600	90
„Boso ale w ostrogach"	2	1320	100
JARACZA			
„Tajemniczy ogród"	2	1028	100
„Jegor Bułyczow i inni"	1	514	100
7.15			
„O krasnoludkach i sierotce Marysi"	3	1266	100
„Żołnierz królowej Madagaskaru"	1	420	100
OPERETKA			
„Pierwiosnki"	6	4091	61
FILHARMONIA			
koncert symfoniczny	1	487	70
koncert kameralny	1	200	100

Listy do redakcji

PANIE REDAKTORZE!

Ponieważ „Odgłosy" zajmują się między innymi problematyką obyczajową, chciałem i ja podzielić się swymi doświadczeniami w tej materii. Jestem lokatorem spółdzielni mieszkaniowej i w ramach gwarancji miano u mnie przełożyć parkiet. W tym celu pewnego dnia zjawił się w moim mieszkaniu majster, może nawet mistrz. Prosiłem, żeby mi przełożono parkiet w dwu pokojach, on uważał, że w jednym wystarczy. Ciekawie argumentował. Mówił, że praca jest trudna i ciężka, klepki się podczas odrywania łamią, nowe są nie wyschnięte itp. Gdybym miał jakieś chody czyli znajomości, to wtedy co innego. Nie miałem.

Dzielny ten człowiek zachodził do mnie jeszcze kilka razy. Stukał, pukał, obmacywał, zaraz widać, że fachowiec. Wiem nawet o co mu chodziło.

Nie będę opisywał szczegółów perypetii, ale około miesiąca czasu zabiegałem, prosiłem, błagałem, aż wreszcie po wielu interwencjach zrobiono mi to, co należało zrobić bez tych wszystkich kłopotów i mojej zapobiegliwości. Jestem jednak cierpliwy i w końcu drogą formalną pokonałem opór majstra. Przyszli specjaliści, wykonali robotę, nie mówmy już o tym, jak to zrobili, ale po skończeniu przez trzy godziny nie wychodzili z mieszkania, dając do zrozumienia, sugerując, robiąc aluzje do zwyczaju...

Jestem co prawda człowiekiem naiwnym, lecz nie na tyle, żeby się znów nie domyślić, że chodziło o wymuszenie ze mnie haraczu. Nie dałem. Wiem jednak od sąsiadów, że nie byli oni tacy odporni jak ja. Pan myśli, że ja się sąsiadom dziwię, że potępiam. Kosztowało ich to parę groszy, a ile zdrowia i nerwów zaoszczędzili, a więc za co ich potępiać?

Ale jak pan myśli, że dziwię się i potępiam fachowców — to się pan jeszcze bardziej myli. Przecież ich tego nauczyli ludzie, wmuszając w nich łapówki. Każdy chce, żeby mu zrobiono jak najszybciej. Tacy fachowcy co nie biorą, nie budzą zaufania. Więc biorą, przyzwyczajają się. Potem są zdziwieni, jak im kto nie da. Sami wtedy żądają. Tak się rodzą obyczaje. Najpierw my w nich wmuszamy, potem oni na nas wymuszają.

Czy jest na to jakaś rada? Zapewniam, że nie ma żadnej rady. Chyba, że w swojej pracy człowiek odbije to sobie na kimś innym.

STEFAN KRUK

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

SZCZĘŚLIWI Z WYSPY ROZPACZY

Spójrzmy na mapę południowej części kontynentu afrykańskiego. Na lewo, na Oceanie Atlantyckim, między 20 a 10 południkiem, na wysokości mniej więcej Kapstadtu, choć nieco niżej, znajdziemy trzy małe kropki. To archipelag o nazwie Tristan de Cunha. To tu zaczyna się akcja książki pt. „Les Bienheureux de la Désolation" (Szczęśliwi z wyspy Rozpaczy) o autentycznych zdarzeniach. Autorem powieści jest Hervé Bazin (ur. 1911) jeden z najwybitniejszych francuskich pisarzy współczesnych, członek Akademii Goncourtów, autor kilku słynnych powieści.

Ta ostatnia jego książka cieszy się we Francji dużym zainteresowaniem, a w Anglii spotkała się z niejaką rezerwą. Akcja jest dość prosta. Na jednej z wysp archipelagu Tristan de Cunha żyło społeczeństwo złożone z około trzystu ludzi, zapomniane przez cały świat. Warunki na wyspie są ciężkie. Ludzie, a są to potomkowie szkockiego kaprala i innych rozmaitych rozbitków oraz ludności czarnej żyli od półtora wieku wciśnięci między wulkan a surowe morze, na skrawku ziemi smaganej wichrami. Klimat tu niegościnny dla człowieka. A jednak wytworzyło się tu społeczeństwo, którego zasadą stało się: „Niech nikt nie będzie ponad nikim". Głównym źródłem utrzymania tych ludzi były połowy ryb i uprawa skrawka ziemi. I oto nagle w roku 1961 spokojny dotąd wulkan zaczyna wyrzucać lawę zagrażając istnieniu ludzi. Władze brytyjskie przypominają sobie wtedy, że archipelag należy do Wielkiej Brytanii i że wyspiarze są właściwie obywatelami brytyjskimi. Do wyspy, którą nazwano kiedyś Wyspą Rozpaczy przybywają okręty i zabierają jej mieszkańców do Anglii. Anglicy są przekonani, że wyspiarze będą zachwyceni warunkami nowoczesnej cywilizacji. Dzieje się jednak wprost przeciwnie. Mieszkańcy dalekiego archipelagu zupełnie nie umieją się przystosować do warunków nowoczesnej cywilizacji, ich umiejętności w Anglii przydają się najwyżej do czynności najprostszych jak np. mycie samochodów. Marzą o powrocie do swej Wyspy Rozpaczy, która obecnie staje się dla nich rajem utraconym. Zaledwie kilka dziewcząt, które wychodzą za mąż, zostaje w Anglii. Inni wracają do swego kraju po dwóch latach. Wracają choć mimo pewnych inwestycji dokonanych przez ten czas przez Anglików, jak zbudowanie portu rybackiego, wiedzą, że ponieważ lawa zniszczyła ich chaty, wiele prac będą musieli podjąć od początku i że jak poprzednio będą pracowali i żyli w twardych warunkach surowego klimatu wyspy.

Książka Bazina jest równocześnie opowieścią filozoficzną. Stanowi jakby kontynuację tych problemów jakie poruszali ci pisarze, których interesował stosunek człowieka do cywilizacji, oddziaływanie tej że cywilizacji na człowieka w zestawieniu z życiem na łonie natury.

Krytyka, omawiając książkę Herve Bazina przypomina nazwiska Rousseau, Voltaire'a, Daniela Defoe. Powieść „Szczęśliwi z Wyspy Rozpaczy" jest podjęciem tematu, o którym pisali tamci, jest jakby kontynuacją myśli tamtych pisarzy.

Powieść napisana jest z dużym wczuciem się w psychikę wyspiarzy, oglądana niejako ich oczyma. I dlatego pisarz otrzymał od mieszkańców wyspy dyplom honorowego obywatela „Tristan d'honneur". A to wyróżnienie ważniejsze jest dla Bazina niż nagroda braci Goncourt — zauważa paryski tygodnik „L'Express".

Herve Bazin

PICASSO ZAWSZE TWÓRCZY

Pablo Picasso liczy sobie 89 lat. Mieszka i pracuje w swym domu w Mougins, który ma nazwę „Notre—Dame de Vie". Ostatnio

Pablo Picasso — płótna malowane w dniu 1. 12. 69

dwudziesty czwarty Festiwal w Awinione zainaugurowano wielką wystawą dzieł Picassa w byłym Pałacu Papieży. Wielki artysta pokazał tu swój dorobek z roku ubiegłego i bieżącego. Znalazło się tu 165 płócien i 50 rysunków. Dzieła zostały rozmieszczone na szarych ścianach wewnątrz

Pablo Picasso: „Pocałunek"

budynku, w sposób bardzo korzystny, tak że rozproszone światło z ogromnych okien pada na obrazy.

Jak maluje osiemdziesięciodziewięcioletni Picasso? Zdumiewające - podkreślają recenzenci — że w tym wieku nie wyczerpał się absolutnie jego talent. Maluje z tą samą, charakterystyczną dla niego werwą, szybkością, pracowitością. Posiada równie ostre widzenie co dawniej, i jak dawniej znać w jego twórczości zacięcie satyryczne, nie mniejsze niż dwadzieścia lat temu, a być może maluje z jeszcze większym mistrzostwem niż dawniej. Jean Vilar, dyrektor Festiwalu podkreślił w swym inauguracyjnym przemówieniu m. in. potrzebę tworzenia przez Picassa dzieł sztuki. Picasso tak potrzebuje malowania, rysowania, rzeźbienia czy nawet pisania jak my oddychania, aby żyć. „Ja nie szukam, ja znajduję" — powiedział kiedyś Picasso. Znajdować — mówi Vilar rozwijając to powiedzenie Picassa — to dać się pochłonąć przez pasję działania i traktować pracę gdy się miało piętnaście czy dwadzieścia lat, aż do dzisiejszego dnia jako nieprzerwaną działalność. Takim właśnie artystą jest Pablo Picasso.

CZY AUTENTYCZNY VAN GOGH?

W jednym z mniejszych miast w szwajcarskim kantonie Valais odnaleziono rzekomy obraz Van Gogha. Eksperci, jak dotąd, nie są zgodni czy jest to autentyczne płótno wielkiego malarza czy tylko kopia. Obraz przedstawia słynną „Chaumière" (Chatę) namalowaną przez Van Gogha w 1885 roku. Niewątpliwy autentyk znajduje się we Frankfurcie. Wartość obrazu wynosi miliony franków. Wiadomo, że Van Gogh wiele razy malował jeden i ten sam motyw, a więc, obraz znajdujący się w Szwajcarii może być również autentyczny. W teczkach Van Gogha znaleziono cały szereg szkiców odnoszących się do tego samego krajobrazu. Według pierwszych ocen ekspertów obraz nie jest kopią. Kolekcjonerzy sztuki bardzo interesują się sprawą ostatecznego ustalenia czy płótno wyszło spod pędzla Van Gogha czy też jest kopią. Wiek obrazu potwierdzałby tezę o autentyczności.

Obecnie oczekuje się na zdanie wybitnych ekspertów międzynarodowych, którzy mają wydać ostateczny werdykt.

ZMARŁ JOHNNY HODGES

W wieku lat 63 zmarł w Nowym Jorku wybitny muzyk jazzowy, Johnny Hodges.

Był jednym z tych improwizatorów muzycznych, którego nigdy nie opuszczała inwencja i którego każdy występ był przeżyciem dla melomanów.

Johnny Hodges urodził się w Cambrigde koło Bostonu w lipcu 1906 roku. Miał dwadzieścia jeden lat kiedy został zaangażowany do zespołu jazzowego słynnego Duke Ellingtona. Pracował z nim następnie stale z wyjątkiem czteroletniego okresu czasu w latach 1951—55, kiedy to prowadził własny zespół.

Zawsze opanowany, zawsze spokojny Hodges nie reagował na entuzjazm słuchaczy. Odznaczał się charakterystycznym, indywidualnym stylem gry, toteż amatorzy muzyki jazzowej zawsze rozpoznawali jego grę na saksofonie. Przez 40 lat swej działalności muzycznej położył ogromne zasługi dla rozwoju jazzu.

Bez strachu

POWROTY

Odjazdy, odejścia są przygodą — małym dreszczem, szczypią nieznanego — kiedy wiemy, że odejście jest stałe, nieodwracalne — doza nieznanego wzrasta, od dreszczu nieledwie szczękają zęby — mała przygoda odejścia rozrasta się wtedy w przepaść. Oto jesteś w obcym miejscu, w podnajęte okno uderza nieznany wiatr i tak będzie już zawsze. Jeżeli wyjechałeś na pół roku i wracasz do miasta, które cierpliwie czekało na ciebie — czekają cię czarodziejskie przygody powrotu, poruszasz się w lawinie niespodzianek. Czym była twa wiedza o ludziach, z którymi współżyłeś — jeżeli ci, których posądzałeś o obojętność lub niechęć, dopytywali się o ciebie z serdeczną troską, a ci o których mniemałeś, że są życzliwi, milczeli, lub wyrażali ukontentowanie, że wreszcie porwały cię jakieś silne wiatry i z pewnością kark skręcisz.

Wielu znanych ci (jak sądziłeś) ludzi zdumiewająco przekształciło się w czasie — jedni w zdumiewający, bezgraniczny sposób postarzeli, masz ochotę zawołać: „Przestańcie, przecież to dopiero pół roku a nie dziesięć lat". Oni jednak zabrnęli w starość jak w dolinę bez wyjścia, wydaje się przez moment, że to starzenie nastąpiło z ich woli oraz z ich winy — dawno już pragnęli być starcami, męczył ich wiek pośredni — wypuściłeś ich na pół roku z rąk i oto trzęsą się i ślinią, oto utracili zęby i pamięć. Inni odmłodnieli, biegli przez półrocze wbrew prądowi czasu, idą teraz na twe spotkanie sprężystym krokiem, policzki mają rumiane, bardzo mocno ściskają rękę... Istniał zatem półroczny czas plus oraz półroczny czas minus. Upodobanie starości przerasta u wielu miłość młodości. Pamiętajmy, iż przez długi czas ludzie tego pokroju myślieli o przewadze lat, jako o rzeczywistej przewadze, jako zespole uprawnień specjalnych moralno-obyczajowych. „Słuchajcie starszych" — krzyczeli, jednocześnie w głębi duszy myślieli, że chociaż zapewnili otoczenie o swojej starości, istotnie starymi nie są. Myślieli: „Będziemy sobie tak naprawdę, tak dla siebie młodzi, a dla innych starzy — ten stan rzeczy pozwoli nam utrzymać pełnię sił życiowych, a jednocześnie górować nad niedorzecznie, ba, haniebnie młodym otoczeniem..." Ta osobliwa gra w młodo-starych udawała się przez wiele lat.

Być może, sądzili, że z nimi stanie się wtedy coś specjalnego — starość prawdziwa ominie ich na zasadzie szmuglu, zagrają wtedy młodość, tak, jak przez całe lata grali starość.

Minęło zaledwie pół roku i upadły te nadzieje, zaznali rzeczywistej, nieomylnej starości. Wtedy zdobyli się na nową, demonstracyjną grę — udali zgodę na starość, ba, przedłużyli ją, pogłębili.. Jeżeli przypadło im garbić się cokolwiek, garbili się wydatnie, lekkie drżenie rąk zmienili w spazmatyczne drgawki, rzeczywiste osłabienie słuchu — w pogranicze kompletnej głuchoty. Krzyczeli przez te gesty: „Jak nadmiernie, jak niesprawiedliwie jesteśmy starzy". Liczyli na odwołanie, na cofnięcie — daremnie — ta ostatnia kreacja stała się rzeczywistością, gra — stanem faktycznym. Patrzę na nich: „Gdzie wyście zabrnęli przez to półrocze, dla was już nie ma powrotu".

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Diabeł Boruta tańczy kujawiaka

ODKRYWANIE FOLKLORU — 70 TYSIĘCY NAGRAŃ I BRAK SYSTEMATYKI — CZY FOLKLOR URZEKA? — PO ODPOWIEDŹ DO ZGIERZA — PIĘKNE EFEKTY — BUDZENIE UCZUĆ PATRIOTYCZNYCH

Różnie się zwykło mówić o ruchu regionalnym — często zresztą w tonacji lekceważącej. Są opinie, że wskrzeszanie reliktów ludowej kultury nie ma większego sensu w sytuacji, kiedy powoli lecz stale zanikają różnice między miastem a wsią, kiedy powszechna staje się uniwersalna „mass kulture". Niesłuszne to jednak opinie — folklor jest i będzie podstawowym składnikiem i prażródłem narodowej kultury — ci, którzy go kultywują, prowadzą może niezbyt efektowną, ale za to ambitną i potrzebną pracę.

Aby się jednak w tym przekonaniu utwierdzić, pojechałem w podróż niedaleką, bo do Zgierza, gdzie przy zakładach „Boruta" działa nader interesujący zespół regionalny, prowadzony przez Zbigniewa Hauke. Zespół kultywuje folklor regionu łęczyckiego — robi to w sposób odkrywczy, o czym świadczą zresztą nie tylko pierwsze nagrody na ogólnopolskich przeglądach. Odkrywczość ta polega głównie na tym, że zespół nie tylko korzysta z przebogatych źródeł, archiwów i materiałów zgromadzonych przez trzy pokolenia polskich badaczy folkloru od Kolberga poczynając, ale sam takie badania dla swych artystycznych potrzeb prowadzi. Choćby taki fakt: W żadnych naukowych katalogach nie było strojów ludowych z łęczyckiego. Teraz już mogą być, bo folkloryści ze Zgierza odnaleźli je, opracowali i już niedługo wystąpią w nich na scenie.

Na marginesie zresztą warto dodać, że jakkolwiek istnieją przebogate zbiory sięgające około 70 tysięcy nagrań ludowych pieśni i utworów instrumentalnych, to wciąż odczuwa się brak jakiejś ogólnej systematyki. Wciąż brak fachowych opracowań tego problemu — rzadko się zdarza, aby wyższe szkoły muzyczne brały na naukowy warsztat zabytki ludowej kultury. Podobnie muzea, które zajmują się głównie badaniem kultury materialnej.

Mimo tych luk i niedociągnięć ruch regionalny jest niezwykle żywy — liczne są zespoły artystyczne, zafascynowane ludową kulturą. Wydawać by się mogło, że w erze big-bitu anachronizmem i myszką trąci oberek, kujawiak czy mazur. Czy tak jest? Po odpowiedź na to pytanie pojechałem do Zgierza.

Oto co mówi młodzieniec z kapeli: „Grałem kiedyś w zespole big-bitowym, ale myślę, że ta muzyka jest ciekawsza — przyszedłem kiedyś raz na próbę i tak już mnie to wciągnęło". Mówi młoda dziewczyna: „Byłam kiedyś na wiejskim weselu, widziałam ceremoniał starych obrzędów weselnych, jest w nich coś urzekającego. Odszukałam więc w Zgierzu ten zespół i już tu zostałam". Mówi pan Szczepaniak — skrzypek z kapeli: „Ta stara muzyka nigdy nie zaginie, zawsze będzie ludzi urzekać na nowo". To prawda — muzykanci z kapeli: Lewandowski i Paradowski, grają już w zespole 10 lat, „weteranów" jest zresztą więcej, ale najbardziej optymistyczne zjawisko to właśnie młodzież, która mając do wyboru — w tym samym „Borucie" zresztą — dwa zespoły big-bitowe i jeden kabaret, przychodzi właśnie do zespołu regionalnego.

Powiedziałem im wówczas słowa, które może zabrzmiały patetycznie, ale które są prawdą. „To co robicie jest przede wszystkim pracą ambitną, bo propagujecie starą, polską kulturę, pomagacie ją upowszechniać w pięknym artystycznym kształcie".

O ten artystyczny kształt dbają przede wszystkim kierownik artystyczny Zbigniew Hauke, choreograf Zdzisława Hofmokl — ten artystyczny kształt i piękno starej muzyki i tańca leży na sercu Marianowi Zachariaszowi i Janowi Burdykiewiczowi, którzy z ramienia zakładów i związku chemików opiekują się swoją gromadką miłośników folkloru. Opiekują się nie tylko z urzędu i funkcji, ale tak jakoś serdecznie i z zaangażowaniem.

I efekty są. Nagrody na ogólnopolskich przeglądach, zaproszenia zagraniczne i w końcu te efekty niewymierne — entuzjazm na widowni, ciągły napływ nowych kandydatów do zespołu, który z niewielkiej gromadki urósł dziś do czterdziestu osób. Przyjeżdżają na próby nieraz z odległych wsi, pracują na nocne zmiany, aby tylko móc uczestniczyć w zajęciach zespołu.

No i te drobne satysfakcje, świadczące o potędze starej muzyki i tańca. Opowiada Zbigniew Hauke: „Występowaliśmy w Chodakowie i tak się złożyło, że program przewidywał wspólny występ z zespołem mocnego uderzenia. Trochę się bałem tej konfrontacji, bałem się „klapy". No i była, ale tamtego zespołu. Ich występ przyjęto obojętnie — po naszym widownia szalała. Zdobyliśmy niebywałą popularność".

Świat się zmienia — zacierają się różnice między miastem a wsią, przemieszania ludnościowe zmniejszają odrębności regionalnych kultur. To wszystko prawda. Ale prawdą jest także, że ruch regionalny ożywia życie kulturalne, że uczy szacunku dla narodowej kultury, że jest ważnym instrumentem rozbudzania uczuć patriotycznych. Ci wszyscy młodzi i starsi miłośnicy folkloru ze zgierskiego „Boruty" mają tą świadomość, że kontynuują wielowiekowe tradycje polskiej kultury ludowej, że proponują jakieś istotne i piękne elementy tej starej, samorodnej sztuki.

Zastępy polskich folklorystów uśmiechają się z sympatią z zaświatów, kiedy widzą jak do posuwistego kujawiaka rusza na wet sam diabeł Boruta. Cóż robić, kiedy jest patronem fabryki mecenasującej ludowej kulturze, sam też musi się włączyć w taneczny krąg rozśpiewanej młodzieży.

JERZY WIDOK

FREDERIC BROWN

Zły Pies

Pomysł kradzieży zakiełkował w mózgu Willa Webera owego dnia, kiedy zobaczył starego Erskine otwierającego kasę pancerną.

Było tam niemało pieniędzy. Paczki banknotów starannie ułożonych, leżały jedna przy drugiej.

Staruszek wziął z jednej paczki trzy papierki dwudziestodolarowe i podał je Willowi. — Należy się panu jeszcze sześćdziesiąt dolarów — rzekł Erskine. — Teraz płacę dziewiątą ratę podatków.

Wziął pokwitowanie, które mu Will podał, zamknął drzwiczki kasy i nastawił kombinację znaków.

Była to nieduża kasa przestarzałego typu. Można było otworzyć ją przy pomocy dłuta i żelaznego łomu, lecz narobiłoby to dużo hałasu.

Staruszek wyszedł z domu z Willem i udali się w kierunku ogrodzenia z żelaznej kraty. Gdy gospodarz zamknął furtkę za inkasentem, zbliżył się do drzewa i odwiązał psa.

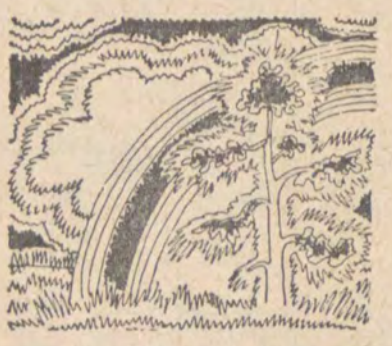

Will odwrócił się jeszcze aby obejrzeć furtkę i umieszczony nad nią napis: „Uwaga, zły pies!". Poniżej był zatrzask i guzik dzwonka. Kto chciał zobaczyć się z Erskinem, musiał zadzwonić, poczekać aż wyjdzie z domu, przywiąże psa i wpuści interesanta

Furtka też nie przedstawiała żadnej przeszkody. Ktoś zręczny i silny potrafiłby z łatwością przeskoczyć ogrodzenie. Ale tam mógł się narazić owej piekielnej bestii, którą Erskine trzymał na straży.

Pies był chudy, wygłodzony. Jego ślepia uporczywie śledziły każdego kto się zbliżał.

Ten pies stał się zmorą Willa. Śnił mu się po nocach, zastępował drogę, przyglądał się z nienawiścią.

Weber mieszkał w pobliżu Erskine'a. Codziennie, gdy przechodził obok jego domu, idąc do pracy, myślał o swym planie.

To na pewno nie byłoby trudne. Pies? Można go przecież otruć.

Istniały pewne rzeczy, których pragnął się dowiedzieć, lecz należało postępować ostrożnie. W biurze nawiązał przyjaźń z inkasentem, który przychodził niegdyś do Erskine'a. Poszedł z nim kilka razy na piwo i wreszcie pewnego dnia sprowadził rozmowę na interesujący go temat.

— Stary Erskine? — zapytał inkasent. — To jest wielka sknera, wszyscy o tym wiedzą. Płaci ratami, bo nie lubi pozbywać się pieniędzy. Czy widziałeś kiedy te stosy banknotów, które trzyma w kasie?

Will przestawił rozmowę na bezpieczniejszy temat. Nie chciał dyskutować o tym, ile pieniędzy trzyma stary w domu.

— Czy widziałeś kiedy takiego psa jak ten przeklęty kundel Erskine'a? — zapytał Will.

Inkasent pokiwał głową. — Wszyscy tak mówią. Ta bestia nienawidzi nawet swego pana. Mówiąc między nami ma rację. Ten skąpiec głodzi psa, aby zdziczał jeszcze więcej.

— O, do diabła! — krzyknął Will. — Dlaczego nie rzuca się na swego pana?

— Nikt go tego nie nauczył. Nie rzuca się także na syna staruszka, który go czasem odwiedza, a także na posłańca od drogerzysty. Lecz rozerwałby na kawałki każdego innego.

A więc zwierzę tolerowało dwie osoby oprócz starego — rozmyślał Will. To znaczy, że gdyby się udało przejść obok psa bez szwanku, podejrzenia zwróciłyby się przeciw tym osobom. Sprawa była ryzykowna, lecz fakt głodzenia psa mógł uprościć bieg rzeczy. Jeżeli jedna z dróg do serca człowieka prowadzi przez żołądek, dlaczego ten system nie mógłby doprowadzić do serca zwierzęcia?

Warto było spróbować.

Will zaczął działać. Nabył mięso w sklepie rzeźnika na drugim końcu miasta. Wieczorem zbadał dokładnie sytuację wokół swego domu starając się, aby nikt go nie zauważył.

Trzymając się środka chodnika szedł wzdłuż żelaznego ogrodzenia. Pies był tuż za kratą i dotrzymywał mu kroku w milczeniu.

Will wsunął kawałek mięsa do ogrodu i poszedł dalej aż do rogu, a potem zawrócił. Zbliżył się do ogrodzenia i przerzucił poza kratę drugi kawałek mięsa. Zobaczył, jak pies chciwie rzucił się na jedzenie.

Will wrócił do domu nie spotkawszy po drodze nikogo znajomego. Czuł, że wszystko pójdzie pomyślnie. Wygłodniały pies będzie jadł mięso, które mu przyniesie. Może niedługo weźmie pokarm z jego rąk.

Opracowywał dalej swój plan nie zaniedbując żadnego szczegółu.

Kilka narzędzi, które były mu potrzebne, zdobył w taki sposób, że nikt faktu nabycia nie mógł łączyć z jego osobą. Oczyścił je dokładnie, aby usunąć odciski palców. Potem zaczął obserwować zwyczaje sąsiadów i wykrył, że wszyscy w jego bloku o godzinie 1 w nocy spali, prócz dwóch robotników, którzy mieli nocne dyżury i wracali dopiero o 4 nad ranem.

A więc czas między 2 a 3 godziną w nocy był najodpowiedniejszą porą do działania

A pies? Postępy w zdobywaniu sympatii zwierzęcia były łatwiejsze i szybsze niż można było się spodziewać. Teraz już brał pokarm z ręki Willa poprzez kratę ogrodzenia. Pozwalał się nawet głaskać.

Pies był spragniony serdeczności tak samo jak pokarmu.

„Piekielna bestia"? Will uśmiechał się na wspomnienie zdania, którym się jeszcze niedawno posługiwał dla określenia zwierzęcia.

Wreszcie pewnej nocy Will odważył się na próbę przeskoczenia żelaznej kraty. Pies przybiegł do niego skomląc radośnie i machając ogonem. „Bestia" została ujarzmiona!

Will postanowił urządzić decydujący wypad w nocy z piątku na sobotę. Spodziewał się, że pies zachowa się jak należy, jednak nie zaniedbał wszelkiej ostrożności.

W piątek nastawił budzik i położył się spać. Dzwonek wyrwał go ze snu o 12 w nocy. Ubrał się, włożył długie gumowe buty pod spodnie, owinął szyję grubym szalem. Wziął przygotowane mięso.

Idąc wzdłuż chodnika oglądał się czy go ktoś nie widzi. Księżyc świecił jasno, tak jasno, że można było czytać groźny napis nad furtką: „Uwaga, zły pies!"

Uśmiechnął się ironicznie. Podał psu kawałek mięsa poprzez kratę, pogłaskał go po grzbiecie patrząc jak łapczywie zajada. Potem przeskoczył przez ogrodzenie i skierował się do willi Erskine'a.

Wyjął z torby łom i otworzył nim okno na parterze. Po cichu wszedł po schodach na piętro. Kasa pancerna mieściła się w pokoju sypialnym staruszka. Obudził się, gdy Will otwierał drzwi. Nie zdążył krzyknąć.

Zabójstwo było konieczne — myślał Will — Nawet gdybym go ogłuszył, czy mocno związał, stary w pewnym momencie mógł zawołać o pomoc. Mógłby także rozpoznać go chociaż w pokoju było ciemno.

Rozłożył na stoliku narzędzia spokojnie i bez pośpiechu. Kasa pancerna przedstawiała większe trudności, niż się spodziewał. Lecz na kilka minut przed trzecią udało mu się ją otworzyć i wyjąć wszystkie pieniądze

Gdy schodził do ogrodu opadły go wątpliwości, czy nie popełnił jakiegoś błędu w planie, który dotąd tak gładko przebiegał. Na chwilę ogarnęła go panika.

Przybył do domu bezpiecznie. Zaczął

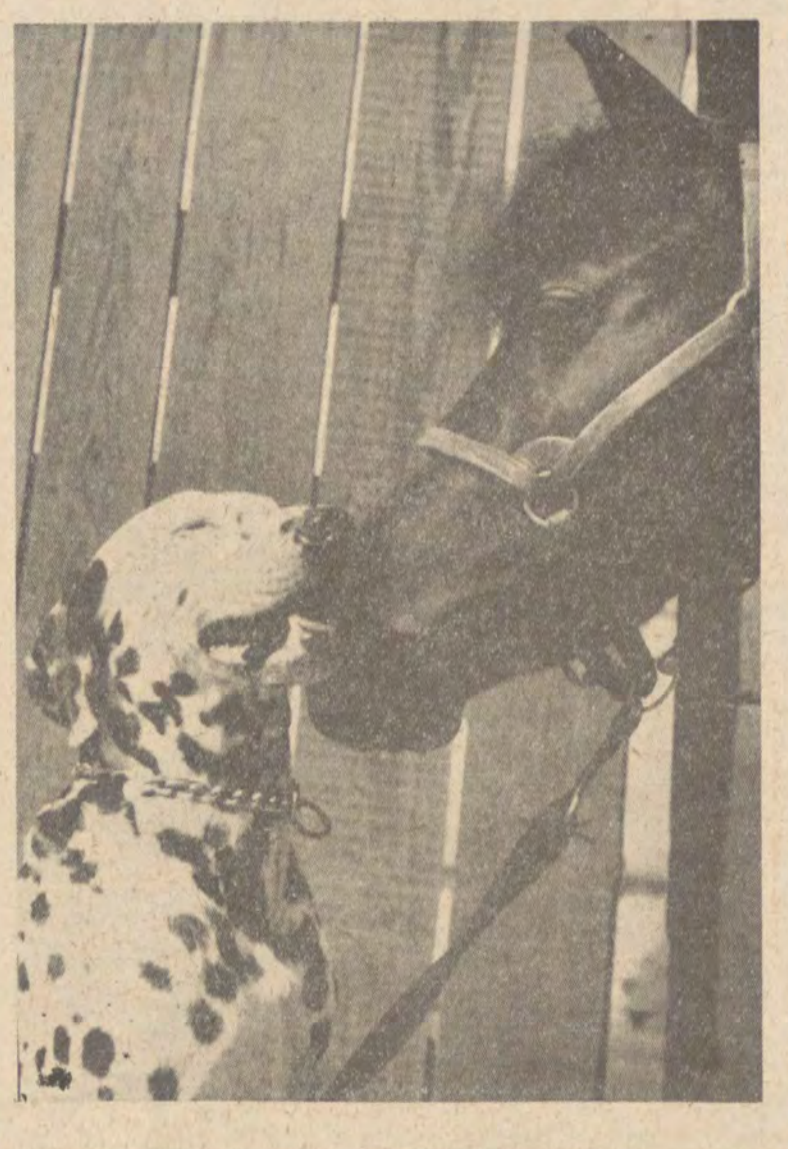

teraz rozmyślać nad każdym swym krokiem i doszedł do wniosku, że nie pozostawił żadnych dowodów, które mogłyby skierować na niego podejrzenia policji.

W domu przeliczył pieniądze przy słabym płomyku świecy, której nikt nie mógł zauważyć z ulicy. Postanowił, że w poniedziałek zaniesie łup do banku, gdzie już wynajął skrytkę pod fałszywym nazwiskiem.

Należało znaleźć jakiś tymczasowy schowek, aby nie ryzykować. Za dnia rozkopał grządkę w tyle ogrodu i zamaskował ją leżącymi na ziemi gałązkami.

Teraz przesunął się ostrożnie wzdłuż parkanu w taki sposób, aby go nie zobaczył ktoś z sąsiadów, gdyby wyglądał oknem. Wykopał dołek w świeżo wzruszonej ziemi. Nie musiał kopać zbyt głęboko, miejsce było dobrze ukryte wśród krzaków. Owinął pieniądze w pergaminowy papier, włożył do dołka, potem przykrył ziemią, zrównał powierzchnię, aby nie pozostawić żadnego śladu i wrócił do domu.

Była godzina 9, gdy się rano obudził. I znów na chwilę doznał uczucia paniki. Przez kilka minut, które wydawały mu się godzinami, leżał nieruchomo przypominając sobie wszystko, co zaszło. Przemyślał każde swoje posunięcie i uspokoił się zupełnie.

Nie był przez nikogo widziany, nie zostawił żadnego śladu. Dla sprytarza takiego jak on zabójstwo okazało się łatwe, nawet bardzo łatwe!

Nagle usłyszał poprzez otwarte okno jakieś podniecone głosy. Ponad nie wybijał się głos dzielnicowego policjanta. Prawdopodobnie zbrodnia już została wykryta. Dlaczego...?

Pobiegł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Grono ludzi zebrało się na ścieżce obok domu i z ciekawością obserwowało wnętrze ogrodu.

Will spojrzał także w tym kierunku i nagle zrozumiał, że jest zgubiony. Ziemia wokół grządki była rozkopana, a na niej widać było paczki banknotów, rozrzuconych w nieładzie.

Wśród trawy ogrodowej spał czarny pies z nosem przy papierze, w który Will zawinął najpierw mięso a potem pieniądze

Perfidny, niebezpieczny pies, ta bestia piekielna, której przyjaźń zdobył do takiego stopnia, że zwierzę wykopało sobie przejście pod ogrodzeniem i poszło za nim aż do domu!

Oprac. A. S.

Lewym okiem

FAJKI KONOPNE I ŻYLETKI

Starzejący się ludzie, zaskakiwani co dzień rewelacyjnymi nowościami technicznymi i obyczajowymi — ową lawiną „cudactwa", „błazeństwa" i „wariactwa", której już sprostać nie mogą, ani się do niej elastycznie dopasować, ani nad nią świadomie i bez paniki zapanować, — lubią maskować swoje naturalne opory lekceważącym a pełnym rzekomej życiowej eksperiencji machnięciem ręką: panie, to wszystko już na świecie było!

Najmniej nowym wydaje się oczywiście takie stwierdzenie, takie właśnie machniecie ręką: już dwa tysiące lat temu tym samym gestem zamanifestował swą wyniosłą obojętność dla światowej marności starożytny mędrzec: Nihil novi sub sole! Zapewne, można natychmiast znaleźć tysiące przykładów na potwierdzenie owej głębokiej sentencji. Można bez trudu znaleźć tysiące przykładów na potwierdzenie każdego przysłowia, chociaż — jak wiadomo — można też bez trudu znaleźć zawsze dwa przysłowia, wzajemnie sobie przeczące.

A więc to prawda: nic nowego pod słońcem? Wypada być raczej dumnym z ciągłości trwania, z odwiecznej, naturalnej prawdy odruchów ludzkich, z dawności tradycji i — niechże już padnie to słowo — kultury. Oto w Egipcie wcale nierzadko wykopuje się lalki, którymi bawiły się dzieci przed tysiącami lat tak samo, jak dzisiaj. Historycy, grzebiący w różnych źródłach i szpargałach, zapewniają nas, że assyryjskie maluchy podbijały pejczem warczące bąki, zupełnie jak nasze Januszki na Widzewie, że rzymianię ta huśtały się na huśtawkach i ujeżdżały rumaki na biegunach, że Persowie i inne ludy grały w ślepą babkę i w salonowca, zwanego przez starych, pogańskich Germanów „klepaniem szynek".

Dorośli też bawili się podobnie: skoro w grobowcach z tak zwanej epoki, a więc okrutnie starych, znachodzi się, jak czytałem u Kemmericha, główki od fajek, to widocznie na długo przed sprowadzeniem tytoniu z Ameryki nasi praprzodkowie palili jakieś inne ziele. Na słowiańskich ziemiach — podobno konopie! Jeśli więc na użytek smakoszy, turystów, a po trosze i snobów, organizujemy pełne wdzięku karczmy ze staroświeckim jadłem i napitkiem, to może spróbować i tej piastowskiej używki: fajki konopnej?

Jak dobrze pogrzebać w tak zwanej pomroce dziejów, to się i tego można dowiedzieć, że słynne kopenhaskie porno-targi też miały precedensa niejakie. Ponoć w Paryżu w 1793 roku urządzano bale, których uczestnicy ubrani byli wyłącznie w maski na oczach. Porno-bale!

Bywają jednakże momenty, kiedy człowiek staje zaskoczony, a zaraz potem lekko przerażony: jakto, to naprawdę aż tyle rzeczy i spraw wciąż się jeszcze powtarza? Wciąż nie możemy tego zostawić za sobą na wieczną niepamięć?

Chodziły po średniowiecznej Europie tłumy obdartych ludzi, biczujących się bądź wzajemnie, bądź każdy własnymi rękami, uzbrojonymi w rzemienne kańczugi. W stanach dziwacznej ekstazy zadawali sobie rany, które potem rozdrapywali na oczach gawiedzi, zdobywając podziw i uwielbienie. Makabra? Na pewno, aleśmy słyszeli niedawno o gromadzie obdartych i kudłatych młodzieńców, którzy usiedli na kupie brudnego śniegu obok drzwi kawiarni i przed wychodzącymi z lokalu dziewczętami popisywali się krajaniem sobie twarzy żyletkami. Krew mieszała się z czarnym śniegiem i błotem, mazała po brudnych palcach i po szeroko roześmianych twarzach. Kiedy indziej posiadało takie — mieszane tym razem — towarzystwo na grobach, rozebrane do rosołu, popijali sikacza wprost z butelek i żyletkami kroili ramiona. Wszystko to już było. Ale ludzie kochani, dlaczego to znowu jest? Co to znaczy?

Starzejemy się, nie ma co. Przestajemy rozumieć tyle rzeczy... Może naprawdę machnąć ręką — nil novi?

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwartalnie 19,50 zł, półrocznie — 39 zł, rocznie — 78 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1179. H-4.